NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 247·— Marek, Półrocznie 494·— Mk. Rocznie 988·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 10 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 15·—, za wiersz nonpareilowy, jednoszpaltowy 20 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 30 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień“, Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 20 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 4. czerwca 1921. Nr. 23.

Uroczystość Bożego Ciała w głównej kwaterze górnośląskich powstańców



Msza polowa wobec dyktatora Korfantego (×) i naczelnego dowódcy Doliwy (××)

Uroczystość Bożego Ciała w głównej kwaterze górnośląskich powstańców.

(Do illustracyi tytułowej).

Ruch powstańczy, jaki ogarnął Górny Śląsk na wiadomość o postanowieniach mocarstw sprzymierzonych, mających na celu załatwienie sprawy przynależności państwowej tego kraju, zatoczył bardzo szerokie kręgi. Pod sztandary powstańcze garnęły się tysiące ochotników, którym siły do walki dodawała wiara w świętość i słuszność sprawy. Organizacya sił bojowych przeprowadzoną została bardzo sprawnie i szybko, przynosząc prawdziwy zaszczyt naczelnemu dowództwu, które w bardzo krótkim stosunkowo czasie potrafiło luźne i licho uzbrojone grupy zorganizować w sposób zupełnie postępowy. Także i dyscyplina, jaka panuje w szeregach armii powstańczej, zasługuje na słowa pełnego uznania. Każdy z ochotników wykonuje sprawnie i chętnie rozkazy przełożonych, streszczające się w zasadzie: swego bronić, cudzego nie niszczyć.

Duch w armii powstańczej panuje jak najlepszy. Musi się walczyć z rozmaitymi brakami, nie mogąc liczyć na żadną pomoc zewnętrzną, a będąc ograniczonym tylko na własne siły, mimo to nie dopuszcza się żołnierz polski nadużyć wobec ludności niemieckiej, wrogo przeciw niemu występującej i odmawiającej mu stale wszystkiego, czego miałby prawo od niej żądać na podstawie prawa wojennego. Zupełnie natomiast inaczej postępują sobie Niemcy, dopuszczający się wobec nawet bezbronnej ludności najohydniejszych gwałtów, mogących nawet najspokojniejszego wyprowadzić z równowagi.

Tego rodzaju postępowanie Niemców było też właściwym powodem wybuchu obecnego powstania. Zbyt pewni siebie i ufni w obietnice, nadchodzące z Londynu, uważali się już za panów tej ziemi, której nikt im wydrzeć nie zdoła i prowokacyami swemi doprowadzili ludność polską do ostatecznej rozpaczy, która podała jej broń w rękę. Robotnik górnośląski, acz wychowany w szkole pruskiej, nie mógł się z tem pogodzić, aby na nim, który wyssał swą polskość z piersi matki, miały nadal ciążyć pruskie okowy, gdy tymczasem reszta jego braci cieszy się wolnością. Buta niemiecka rosła z każdym dniem, rosło też rozdrażnienie wśród ludności polskiej i doprowadzić nareszcie musiało do wybuchu.

W następnym numerze naszego pisma podamy cały szereg nadzwyczaj ciekawych zdjęć, przywiezionych z Górnego Śląska przez naszego sprawozdawcę, w niniejszym zamieszczamy illustracyę, przedstawiającą mszę polową, odprawioną w dniu Bożego Ciała w miejscu postoju głównej kwatery wojsk powstańczych wobec dyktatora Korfantego i naczelnego wodza Doliwy.

Hołd Warszawy dla naszej dzielnej armii.

W tym samym dniu, w którym Kraków witał tak serdecznie ułanów ks. Józefa Poniatowskiego, odbyła się w Warszawie podobna uroczystość. Z frontu wschodniego powróciły po ciężkich trudach bojowych pułki rekrutujące się z Warszawy i jej najbliższej okolicy. Przybycie ich dało sposobność ludności naszej stolicy do wyrażenia gorących uczuć, jakie naród polski żywi dla swych obrońców, którzy z zaparciem się i poświęceniem strzegli granic państwa i honoru naszego oręża.



Hołd Warszawy dla naszej dzielnej armii: 1. pułk szwoleżerów przechodzi przez bramę tryumfalną. Fot. Maryan Fuks, Warszawa.

Dzień 22. maja b. r. zapisał się niezatartemi głoskami w pamięci mieszkańców Warszawy i stwierdził raz jeszcze, że między społeczeństwem, a armią istnieje ścisły nierozerwalny węzeł, dający gwarancyę przyszłej naszej potęgi i znaczenia.

Przebieg uroczystości powitania pułków: 1. szwoleżerów, 21 i 36 piechoty, oraz 1 dywizyonu artyleryi konnej kreśli w następujący sposób poseł Jakób Bojko:

Skoro lud spostrzegł,
że wzdęte wiatrami
Białe z czerwonem
proporce igrają
Wstrzęsło się miasto
radosnymi głosy:
Nasi wracają!

(*Niemcewicz:* „Pogrzeb ks. Poniatowskiego").

Taki radosny okrzyk słychać było 22 maja b. r. w tej Warszawce, do której po tylu bitwach i trudach wojennych, wracały wojska, a mianowicie słynni szwoleżerowie.

Cudowny maj roztoczył swe wdzięki, ubrał się w szatę zieleni, dzień niedzielny, dzień Trójcy Przenajświętszej był tak cudowny, że prawdziwie żyć się człeku chciało! Miasto chciało uroczyście, a serdecznie powitać swe orlęta, to też przybrało się wspaniale. A więc ubrało swe piękne kamienice już to w dywany, już w różnobarwne chorągwie, a któż by te rzeczy wyliczył?

Tysiączne rzesze narodu wyroiły się na ulice, a wszystko dążyło ku tej bramie tryumfalnej, przez którą powracające wojska miały wkraczać.

Na czterech kolumnach ustawiono po jednym naszym orle białym z koroną. Orły te miały głowy pochylone nieco, jakby chciały złożyć pokłon tym, co umieli bronić tego znaku.

Przy kolumnach stanęły cztery armaty wielgachne, z warszawskiej zbrojowni, które ludność otaczając w kółko, słuchała ciekawych historyi, które im zuchowate kanoniery prawili. A obok widać było karabiny w kozłach i lance z chorągiewkami, a to wszystko umajone było zielenią i kwiatami, jakby nieprzymierzając te nasze starodawne druchienki na weselu (bo teraźniejsze wstydzą się kwiatów).

A te straszne instrumenta wojenne tak umajone, to ci wyglądają na oko tak niewinniuchno niby, a jednak ile to one pozbawiły ludzi życia!...

Pod kolumną Zygmunta był szykowny ołtarzyczek przy którym odprawił Mszę św. ks. biskup polowy Gall, nawiasem mówiąc osoba, której jest wszędy na tyle.

Wkoło ołtarza władze wojskowe i cywilne oraz zagraniczni dygnitarze, kapiący od złota i orderów, roje żołnierzy różnej broni, a wszystko piękne i urodne. O! bo teraz nam Pan Bóg daje urodne dzieci, oby tylko się to nie pobisurmaniło!

Radości narodu trudno wam opisać dokumentnie. Jeżeli dzielne chłopaki kroczyli przez tę bramę z radością na twarzach, a z czapkami, nakręconemi na prawe oko czyli na bakier, to mieli słusznie. Mieli być z czego dumni. Usłuchali bowiem krzyku serdecznego Matki Ojczyzny, i sprawili się świetnie, nie gorzej niż przed stu laty pułk tej samej nazwy i stroju pod Sommosierą niegdyś. A gdy się porówna, jaką napoleońscy szwoleżery, mieli wyprawę na wojnę, a jaką dzisiejsi, to kto wie, czy ich nie w jednym nie przerośli.

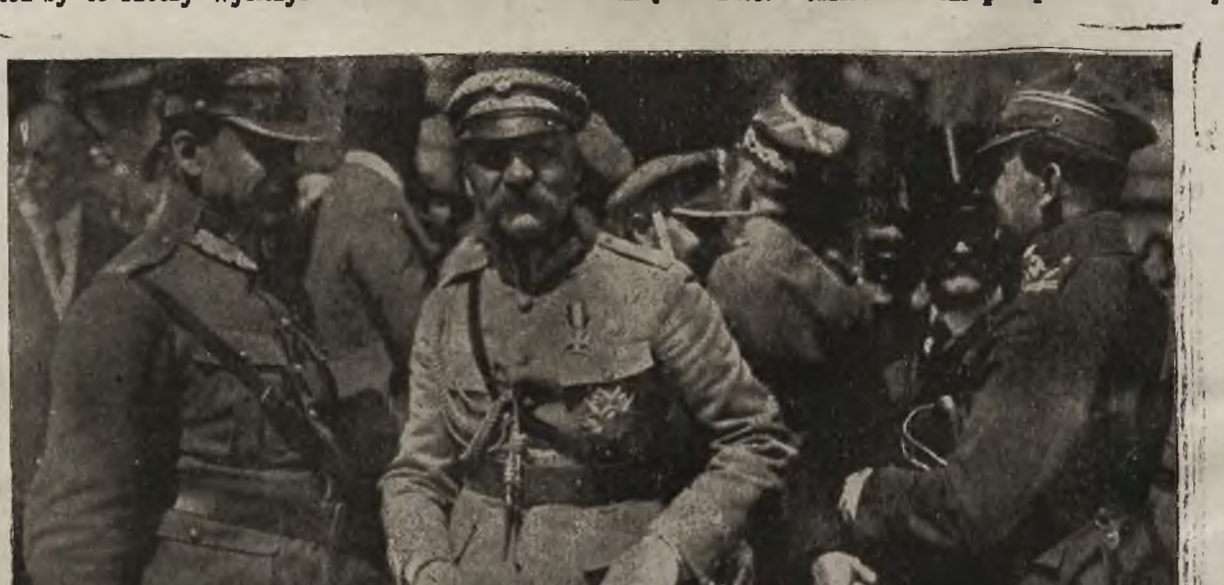
Bo proszę pomyśleć. Pułk szwoleżerów dawnych składał się z ludzi bogatych, a armia Napoleona była nie źle wyekwipowana, broń wówczas nie była tak zabójcza, jak dzisiejsza, i lud był starszy i silniejszy. Prócz tego mieli wodzów wyszkolonych, a do tego owego sławnego „boga" wojny, Napoleona, który się cieszył taką sławą wielką, i którego powszechnie wtedy cały naród polski uwielbiał. A i do wojny miał on talencik dychtyk nie lada!

A nasze wojaki jakże szły do boju i z czem? Boso nieraz albo przyboś, w podartych mundurach, a i broni tyle mieli, co im ta zagranica za drogie pieniądze kapnęła jak jadu, i bij się żołnierzu!

Ale słusznie Lenartowicz pisał, że: „któż to chłopa powstydzi, kiej tańcuje, kiej bije?" Nie zrobili nam wstydu.

Mówiąc o tem, co mieli lepszego szwoleżery, a co nasi, trzeba powiedzieć, że i nasi oficerowie, kuraśne to, bo kuraśne, ruchliwe ani słowa, ale to przecież młódź.

A lubo Dziadek nie może być porównany z Napoleonem, ale na te czasy, i tak prędko, Bogu dzięki i zato. Żołnierz za nim przepadał nie bacząc,



Hołd Warszawy dla naszej dzielnej armii: Jenerał Józef Haller w rozmowie z marszałkiem Piłsudskim. Fot. Maryan Fuks, Warszawa.

że wielu niebacznych starało się go ślinić. Poszło to, zobaczyło wroga i z pomocą bożą złamało mu stos pacierzowy. Czy na długo, Bóg że wie, bo Moskala mało zabić, trza go jeszcze obalić. Ale na razie pobity i „Nasi wrócili!"

A jeżeli się ta kochana wiara tak radowała i cudowała wracając, to jakże się cieszyły z ich powrotu rodziny tychże, te matki i żony, co drżały wciąż z obawy o swych ulubieńców, ci spracowani sędziwi ojcowie, na cóż to opisywać?

A któż może mieć za złe tym matkom, ojcom, żonom, braciom i siostrom, płaczącym wczoraj, którzy w wczorajszej paradzie swych się nie dopatrzyli i... nie dopatrzą, chyba w sąd ostateczny?

A z samego oddziału szwoleżerów nie wróciło 50 oficerów i do pięćset żołnierzy! Te słuszne łzy żalu otrze im chyba jeden tylko Bóg i ta myśl, że ich ukochani spełnili wiernie swój obowiązek wobec Ojczyzny. Pocieszy ich, jako dobrych Polaków, ta myśl, że ich dzieci położyły się wałem na rubieży kraju i swem ciałem zawalili drogę wrogom do Ojczyzny, jak to pięknie mówił niegdyś Żółkiewski, i krocie bohaterów w starej Polsce.

Tak mówili i zrobili niegdyś żołnierze biblijnych Machabeuszów: „bo lepiej nam zginąć na wojnie, niż patrzeć na niedolę narodu naszego!"

Tem się pocieszajcie, że legli w swej świętej ziemi. Wyście choć w tem szczęśliwi. Ale co za boleść tych, których dzieci, mężowie i bracia legli w cudzej ziemi, za obcą, wrogą sprawę? I za to jeszcze im śmie taki Dżordż urągać? A jednak na tej łez dolinie i to przeminie!

Po udekorowaniu najwaleczniejszych krzyżami, miasto gościło zuchów obiadem w ogrodzie Saskim, a piękne panie z córuchnami usługiwały do stołu. Muzyki rżnęły, jak krocset dyabłów, a rozweselony żołnierz ćmił papierosie i spoglądał ciekawie na nadobne panienki, a myślał pewno w duszy: niechno wrócę do chałupy, to i u nas dziewuszki, jako grajcarki.

O! cześć i spokój wieczny dla poległych, a wam żywym sława! Dzieci i wnuki wasze z dumą będą o was opowiadać, a Polska was nie zapomni!"



Hołd Warszawy dla naszej dzielnej armii: Jeneralicya, korpus oficerski i przedstawiciele zagranicznych misyi podczas uroczystości przyjęcia. Fot. Maryan Fuks, Warszawa.



Hołd Warszawy dla naszej dzielnej armii: Główny stół biesiadny w ogrodzie Saskim Na pierwszym planie siedzą: Marszałek Piłsudski, prezydent m. Drzewiecki, prezes Rady m. Baliński, jen. Józef Haller, jen. Niessel i wiceprezes Radny m. Sliwiński. Fot. Maryan Fuks, Warszawa.

Francuski gość w Krakowie.

W niedzielę, dn. 29. maja b. r. powitał Kraków w swych murach miłego gościa, w osobie jenerała Niessel'a, szefa francuskiej misyi wojskowej w Polsce, który do naszego miasta przybył w drodze powrotnej ze Lwowa, gdzie bawił w sprawach urzędowych.

Przyjazd sympatycznego gościa, szczerego przyjaciela Polski i gorącego rzecznika naszych interesów, dał mieszkańcom Krakowa sposobność wyrażenia uczuć, jakie cała Polska żywi dla sprzymierzonej Francyi.

O godz. 10 rano na dworcu kolejowym nastąpiło powitanie o charakterze urzędowym przez władze wojskowe i reprezentantów władz państwowych.

Wzdłuż peronu ustawiła się kompania honorowa 1 p. strzelców podhalańskich z orkiestrą. Z chwilą, gdy jenerał Niessel pojawił się na peronie, podszedł do niego jen. Szeptycki w otoczeniu jenerałów Kosteckiego i Osińskiego — równocześnie rozległy się dźwięki potężnej Marsylianki, wojsko zaś prezentowało broń. Po przejściu przed frontem w serdecznych słowach powitał dostojnego gościa prez. miasta Federowicz, który przemówienie swe zakończył okrzykiem: Niech żyje wielka Francya! Na słowa prezydenta Federowicza odpowiedział jen. Niessel po polsku w krótkich żołnierskich słowach, dziękując za zgotowaną owacyę. Orkiestra odegrała hymn narodowy, poczem w towarzystwie jen. Szeptyckiego, szefa misyi francuskiej Trony'a i prez. Federowicza odjechał samochodem na Wawel, gdzie był obecny na sumie pontyfikalnej z okazyi zjazdu biskupów. Po południu jen. Niessel, który przybył do Krakowa wraz z małżonką i córką, udał się w podróż samochodem do Zakopanego.

Poniedziałek przeznaczono na zwiedzenie salin wielickich.

Jenerał Niessel urodził się w Paryżu w roku 1866, skończył szkołę wojskową w Saint-Cyr w r. 1886, zaczął wojnę ostatnio jako podpułkownik na czele 9 go pułku żuawów, mianowany wkrótce pułkownikiem — został ciężko ranny w twarz dn. 21-go listopada 1914, stopień jenerała brygady osiągnął w roku 1915, a jako jenerał dywizyi otrzymał w r. 1915 dowództwo 9 go korpusu, na czele którego odznaczył się w wielkich bitwach nad Sommo i nad Aisne.

Następnie rząd francuski powierzył jenerałowi Niessel'owi bardzo trudne zadanie kierowania pracami wojskowych misyi francuskich w Rosyi, na którem to stanowisku wytrwał on w ciągu roku 1917 nawet po wybuchu przewrotu bolszewickiego, aż do ratyfikacyi pokoju w Brześciu Litewskim.

Po powrocie do Francyi stanął na czele 11-go korpusu i prowadził go do wielkiego i przełomowego w rostrzygnięciu wojennem uderzenia dnia 18-go lipca 1918, w ciągu którego uległ ciężkiemu zatruciu gazami niemieckimi.

Z początku roku 1919 brał udział w pierwszej Misyi Sojuszniczej w Polsce. W następnych miesiącach roku 1919 był jenerał Niessel kierownikiem Międzysojuszniczej Komisyi Wojskowej, która przeprowadziła ewakuacyę ruchliwych i niespokojnych sił niemieckich z krajów nadbałtyckich i zdobywszy



Hołd Warszawy dla naszej dzielnej armii: Pojazd marszałka Piłsudskiego witany entuzyastycznie przez ludność. Fot. M. Fuks, Warszawa.

ogólne uznanie świetnem spełnieniem tego zadania, otrzymał krzyż *Grand Officier* Legii Honorowej.

Od stycznia 1920 był jen. Niessel komendantem 19-go korpusu w Algierze, skąd przybył do Polski.



Francuski gość w Krakowie: Jenerał Niessel, przewodniczący francuskiej misyi wojskowej w Polsce.

Dotychczasowe zajęcia jenerała Niessel świadczą nie tylko o tem, że zapoznał się w Rosyi, w krajach nadbałtyckich i w Polsce ze sprawami wschodniej Europy, ale także o tem, że rząd francuski przysłał do Polski jednego z najwytrawniejszych w misyach wojskowo-politycznych jenerałów w chwili, gdy miał być zawarty ścisły układ wojskowy francusko-polski.

Nasze stosunki dyplomatyczne z zagranicą.

Nasze stosunki z państwami zagranicznemi stają się z każdym dniem coraz żywsze i ściślejsze. Zagranica pogodziła się już z myślą, że samodzielna i zjednoczona Polska ma racyę bytu i że stanowić musi bardzo ważny czynnik polityczny na wschodzie Europy. Ciało dyplomatyczne, akredytowane przy rządzie warszawskim, uzupełnia się też stale, a i Polska posiada już swych zastępców we wszystkich państwach.

W ten sposób stosunek nasz do zagranicy wchodzi na normalne tory a załatwianie kwestyi międzynarodowych, połączone dotąd z wielkiemi trudnościami, odbywać się może na drodze bezpośredniego porozumienia, bez potrzeby uciekania się do obcej pomocy.

Na tem nawiązaniu bezpośredniego kontaktu wychodzą dobrze obie strony, my, mając za granicą odpowiedzialnych zastępców, mamy też i rzeczników naszych interesów politycznych i ekonomicznych, państwa zagraniczne przez swych posłów mają sposobność dokładnego poznania panujących u nas stosunków i nabrania do nas zaufania, na tych bowiem wyrazach wzajemnej sympatyi, jakie się wymienia z okazyi naprzykład wręczania przez posła listów uwierzytelniających, zbytnio polegać nie można, ani też na nie liczyć, są to bowiem zdawkowe formułki dyplomatycznej grzeczności. Dopiero bliższe zetknięcie wytwarza ten kit, który poszczególne państwa ściśle łączy ze sobą, a popularnie nazywa się „wspólnym interesem".

W myśl tego „interesu" jest Polska dla zachodu Europy wałem ochronnym przed zalewem bolszewickim, dla całego zaś przemysłowego świata nadzwyczaj ważnym rynkiem zbytu, z którym należy utrzymywać jak najlepsze stosunki.

W ostatnich czasach wręczyli w Warszawie, rozpoczynając swe urzędowanie, listy uwierzytelniające posłowie Japonii, Belgii i Czecho-Słowacyi. Przyjęcie ich odbyło się w Belwederze według przepisanego dla takich wypadków ceremoniału, pozatem przedstawili się i w Ministerstwie spraw zagranicznych.

W ministerstwie spraw zagranicznych przyjął japońskiego posła p. Kawakami Koszihiko, który przybył w towarzystwie sekretarza poselstwa p. Miakawa wiceminister Dąbski, który witając go w serdecznych słowach zapewnił o sympatyach, jakie społeczeństwo polskie żywi dla Japonii. W odpowiedzi poseł japoński wyraził radość z tego, że jest pierwszym przedstawicielem przy rządzie Polski niepodległej i zaznaczył, że cała Japonia śledzi z żywą sympatyą i zainteresowaniem wzrost potęgi państwa polskiego.

W toku rozmowy, p. wiceminister Dąbski złożył serdeczne podziękowanie za troskliwą pomoc, jakiej rząd japoński udzielał uchodźcom polskim i prosił o zakomunikowanie tego podziękowania rządowi japońskiemu. Gdy poruszono sprawę Górnego Śląska, p. wiceminister Dąbski podkreślił jak nam zależy na tem, aby Japonia była dokładnie poinformowana o tej sprawie i że nam chodzi jedynie o ścisłe wykonanie traktatu wersalskiego i poszanowanie wyniku plebiscytu.

Również bardzo serdecznie przyjęto barona de l'Escaille posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego Belgii, której losy mają wiele wspólnego z naszymi, a sympatye, łączące oba narody, datują się nie od dzisiaj.

Przedstawicielem Czecho-Słowacyi przy rządzie polskim jest pan Prokop Maxa. P. Maxa włada poprawnie językiem polskim i posiada znajomość Polski, datującą się z czasów przedwojennych. Podczas wojny p. Maxa przebył, jako oficer austryacki, oblężenie Przemyśla, potem w Rosyi uczestniczył w formowaniu czeskich oddziałów wojskowych. Po powrocie do Czech był posłem do pierwszego Zgromadzenia narodowego z grupy realistów. Ostatnio był posłem czeskim w Hadze, skąd obecnie został przeniesiony do Warszawy.



Nasze stosunki dyplomatyczne z zagranicą: Poseł belgijski de l'Escaille po audyencyi powitalnej w Belwederze.
Fot. Maryan Fuks, Warszawa.

W tym okresie zawitała także do Warszawy delegacya ośmiu ministerstw resortowych rumuńskich, w celu nawiązania z Polską umów handlowych. Na jej czele stoi wybitny polityk rumuński, poseł i minister pełnomocny w Warszawie p. Aleksander Florescu.

W dniu 21 maja odbyło się na Zamku pierwsze plenarne posiedzenie Delegacyi polsko-rumuńskiej dla zawarcia umów ekonomicznych pod przewodnictwem p. wiceministra przemysłu i handlu Henryka Strasburgera ze strony polskiej.

Po wstępnych przemówieniach, w których zaznaczono z obu stron dążność do jak najściślejszego zbliżenia ekonomicznego, mającego być podstawą zbliżenia politycznego między obu narodami, ukonstytuowano dwie komisye: jedną dla spraw handlowych i komunikacyjnych, drugą dla spraw terytoryalnych.



Nasze stosunki dyplomatyczne z zagranicą: Japoński minister pełnomocny Kawakami Koszihiko opuszcza Belweder po wręczeniu listów uwierzytelniających. Fot. Maryan Fuks, Warszawa.

K. CZEREMOSZ.

KRWAWE DZIEDZICTWO

POWIEŚĆ

— Doktór powtarza jedno w kółko, niezdrowo, niezdrowo — rzekła zadąsana. — Boże, prawdziwie nieznośna to rzecz być córką lekarza!

— Chóralny śmiech odpowiedział na tę naiwną uwagę.

— A czemże pani chciałaby być? — pytał zgrabny młodzieniec z małemi baczkami.

— Czem? muszę się namyśleć — odparła z filuternym uśmiechem, podnosząc w górę oczy.

— Zwodniczą rusałką — szepnął młodzieniec, patrząc na złote loczki i jasną twarzyczkę.

— Kwiatem lotosu — dodał drugi z sentymentalnem westchnieniem.

— Królową naszą! — zawołał z entuzyazmem trzeci.

— Władku, a ty nic nie zaproponujesz — rzekła Helenka, zwracając się nagle do kuzyna siedzącego obok.

— Kwiatem, boginką, królową, to dla mnie za nudne — odparł z sardonicznym uśmiechem — bądź hożą dziewoją z krwi i kości i każ grać muzyce, bo za długo trwa pauza.

Helenka śmiała się. — Otóż tak to lubię, będę sobą, tylko sobą! A muzyka już zaczyna, czy słyszysz? i to — kontredansa.

Celina tańczyła z panem Wirskim! Patrzał na nią rozpromieniony, w jego oczach gasiła wszystkie urodą swoją, a kiedy w kontredansie szła naprzeciw niego, zdawało mu się, że to zorza idzie i schylając przed nią głowę, szeptał z zachwytem:

Dziwię się tylko, że kwiaty
Pod twemi stopami nie rosną.

A ona uśmiechała się, chłonąc z rozkoszą ten czar prawdziwej miłości, to bezwględne poddanie się i upojenie.

Po tańcu udała się Celina do bocznego pokoju, słabiej oświeconego, gdzie wypoczywały zmęczone pary. Usiadła na kanapce, chłodząc się wachlarzem, niebawem znalazł się przy niej pan Michał.

— Może pozwoli pani kieliszeczek wina dla ochłody — pytał nachylając się ku niej.

— Wina? — śmiała się Celina — chyba, żeby mnie jeszcze bardziej rozgorzało, czy pan takim przyjacielem alkoholu?

— Nie pijam nigdy, nawet w tańcu, pani jednak zbyt rozgrzana, woda mogłaby zaszkodzić, przyniosę więc herbatę.

— Niech będzie herbata — rzekła Celina wspaniałomyślnie, ciesząc się jak dziecko usługiwaniem pana Michała.

Jakoż wkrótce zjawił się z filiżanką w ręku.

— Pozwoli pani, że siądę obok.

— Proszę pana — a serce zabiło jej z dumy na widok jego pokory. Przypomniała sobie, jak to zasiadał przy niej bez żadnych ceremonij na wygniecionej sofie w dziecinnym pokoju panny Czarskiej.

— Jestem jak ten więzień na swobodę wypuszczony — zaczął przyciszonym głosem — pani się uśmiecha, mówi do mnie bez gniewu, och panno Cesiu, życia za mało, aby się za to odwdzięczyć! — Co to za szczęście — dodał po chwili — że pani poznajomiła się z Helenką Sławucką, inaczej byłbym pani tutaj nie widział.

— Tak, Helenka jest bardzo dobra dla mnie.

— Wszyscy są lepsi dla pani, jak ja byłem, to mnie przygnębia i pozbawia odwagi wobec pani...

— Ach cóż znowu, przesadza pan.

— Panno Cesiu! — zawołał błagalnie — niech pani to raz jeszcze powtórzy.

— Co takiego?

— Że przesadzam! to znaczy, że winy moje nie są tak wielkie w oczach pani, niż w moich.

— Czy pan nie wie, że żal i pokuta mażą choćby najcięższe winy? — pytała patrząc nań z uśmiechem.

— Żal, zgadzam się, lecz boję się pokuty, bo jeżeli pani skaże mnie naprzykład na to, abym panią nie widział, to nie wytrzymam.

Celina mieszała się coraz bardziej, chciała te słowa w żart obrócić, lecz mówił tak szczerze, z takim zapałem i z taką prawdą, że ją opuszczała chętka do śmiechu. Spuściła głowę, zawzięcie mieszając łyżeczką herbatę.

— Panno Cesiu — usłyszała znowu cichy głos z namiętnem błaganiem — przyrzeknij mi pani, że nie będziesz przedemną uciekała, popatrz mi w oczy, wszak mogę przyjść po balu?

Spojrzała na niego z zakłopotaniem, a jemu zdało się, że niebo otwiera się przed nim, pierwszy raz bowiem wyczytał w jej wzroku nieśmiałość dziewiczą i to olśnienie, jakie uczuwamy na widok czegoś wielkiego. Uwierzyła nakoniec w jego miłość! Patrzał na nią ciągle, gdyż chciał się napatrzeć swemu szczęściu, a ona przestraszona, jakby zamagnetyzowana, nie spuszczała również zeń oczu. Nareszcie przemocą prawie ocknęła się i odwróciła głowę, pan Michał zaś zaś nachylił się i szepnął: Do jutra...

Celina wracała do domu z Jadwigą i Wandą! Zamyślona, nie uważała na zaciętę milczenie swych towarzyszek, przed oczyma jej bowiem majaczyła twarz pana Michała, pełna miłości i upojenia, a w uszach rozlegał się szept jego słów namiętnych.

Zadzwoniły do bramy.

— Ustąp się! — zawołała Jadwiga — nie dajesz mi przejść!

Celina spojrzała na nią zdziwiona.

— Przecież masz tyle miejsca — odparła spokojnie.

— Chcę wejść pierwsza, bom zmarzła, nie potrzebuję ustępować ci na każdym kroku.

Celina zamilkła! Lecz gorzej było, gdy weszły do mieszkania, w tej ciasnocie tylko przy dobrych chęciach można było wytrwać w zgodzie. Jadwiga zaczęła się gwałtownie rozbierać, rzucając wszystko na podłogę. Wanda ruszała ramionami, rozpuszczając na noc włosy, matka na szczęście spała w drugim pokoju.

— Suknia moja była obrzydliwa — mówiła Jadwiga przez zaciśnięte zęby — mówiłam, że mi w niebieskiem nie do twarzy, ale uparłyście się z mamą, cała moja pociecha, że i ty wyglądałaś szkaradnie.

— Dajcie mi spokój — odburknęła Wanda — złościsz się niby to na suknię, a w rzeczywistości o co innego ci chodzi.

— Może być, ale o tem i mówić nie warto! nie mogę mierzyć się z Celiną, trzeba być zepsutą na wskróś, ażeby tak wabić mężczyzn jak ona wabi. Z nami niewiniątko i cichutka, a z mężczyznami to jej się usta nie zamykają. Tylko w książkach czytałam o podobnych kobietach, wstydź się!

Celena zadrżała, zbudzona nagle z miłych marzeń, wypatrzyła się na nią i zapytała łagodnie:

— O cóż ci idzie, kogóż to wabiłam, jak się wyrażasz?

— Jeszcze się pytasz? Cały wieczór był jak przyszyty do ciebie, a przecież z prawa on do mnie należy — kończąc te słowa, z takim impetem rzuciła gorset na krzesło, że się stoczył na ziemię.

— Nikt mężczyźnie nie może nakazać, aby nadskakiwał tej lub owej — odparła niezmięszana Celina — mówi i tańczy z tą, która mu się lepiej podoba.

— To znaczy niby, że ty mu się tak podobasz?

— Tłómacz to sobie jak chcesz i daj mi spokój, jestem śpiąca — to mówiąc otuliła się kołdrą.

— Jesteś śpiąca, kiedy się we mnie wszystko gotuje? — krzyknęła Jadwiga — uważałaś — mówiła gwałtownie zwracając się do Wandy — jak ona na niego patrzała, jak się uśmiechała, z jakiem zajęciem słuchała go i jak wymownem milczeniem mu odpowiadała? Śledziłam cię pilnie i wszystko widziałam, każdy ruch twój, każde spojrzenie! to wachlowanie się, ten słodki wyraz twarzy, to rozmarzenie! Skąd ci to machiawelstwo — dodała zbliżając się do Celiny — gdzie wyuczyłaś się tego szatańskiego przyciągania i odpychania? Ale na cóż się pytam, czyż nie znam twego chłodnego jak lód usposobienia? Kobieta gorącego serca, kobieta z temperamentem, nie potrafi grać ani na zmysłach, ani na słabostkach mężczyzny, ten przywilej macie tylko wy, bezduszne kokietki, których całem szczęściem nie miłość, ale tryumf i zwycięstwo.

Celina milczała oszołomiona tym potokiem słów i ze strachem patrzyła na swą przeciwniczkę w krótkiej spodniczce z pałającym wzrokiem i rozpuszczonemi włosami. Zdawało jej się, że to nowoczesna Eumenida, która całe życie będzie za nią goniła i ją prześladowała.

— Czegóż się tak na mnie patrzysz — mówiła Jadwiga ze złością — zdaje ci się pewnie, że nie jestem taka ładna jak ty, prawda? Ale za to mam serce — dodała uderzając się w piersi.

— Co ty jej mówisz o sercu — zawołała Wanda mieszając się do rozmowy — co ona wie o sercu? Mieszka u nas od pól roku, czy widziałaś ją kiedy złą, uniesioną, zasmuconą, czy wygadała się kiedy z czem? Nigdy! zawsze chłodna, panująca nad sobą, zawsze jednakowa. To nienaturalne w tym wieku, poza tem musi się coś ukrywać...

— Dziwisz się — zaśmiała się gorzko Jadwiga, wpadając siostrze w mowę — kryje się podle wyrachowanie, pragnienie majątku, chęć wyzwolenia się, jednem słowem bogate zamążpójście. Mniejsza tam o to kogo na swej drodze zmiażdży, byle doszła do mety! Potworna istota, nie czujesz więc żadnych wyrzutów sumienia?

Z tym melodramatycznym wykrzyknikiem wlepiła oczy w Celinę, która poruszyła się chcąc odpowiedzieć, lecz Jadwiga krzyknęła podnosząc ręce, jak gdyby coś odpychała. — Cicho, nie usprawiedliwiaj się, nie chcę nic słyszeć, ciesz się z tego, żeś mi złamała serce, jaszczurko!

Lecz i Celinie było tego za wiele.

— Nie chciałam się usprawiedliwiać, bo niemam z czego — odparła spokojnie — tylko muszę ci powiedzieć, że nigdy nie zauważyłam nic w postępowaniu pana Wirskiego, coby cię upoważniało do jakichś nadziei, miłości i tym podobnych.

— Nie, nie zauważyłaś — zawołała Jadwiga przyskakując do niej — a jego bywanie u nas czyż nie dosyć wymowne, a jego półsłówka i spojrzenia gdyśmy byli sami? Albo to byłaś ze mną, widziałaś go? przecież uciekałaś z domu ile razy miał przyjść...

— Więc skądże te złości na mnie i te wyrzuty? — zapytała Celina korzystając z chwilowej przerwy.

— Stąd, że to wszystko było misterną siatką, w którą go łapałaś — krzyknęła Jadwiga zapalczywie — i to twoje usuwanie się i ta twoja niby to obojętność i te dzisiejsze rozmowy i uśmiechy. Cały plan ułożyłaś i wiernie go przeprowadziłaś, ale jest jeszcze Bóg — dodała patetycznie wznosząc rękę w górę z wyciągniętym rozkazującym palcem — na nim opieram nadzieję moją.

Celina nie spostrzegła komizmu i napuszystości tego frazesu, tylko jak dziecko strwożyła się w sercu przed swoją odpowiedzialnością. Zapanowała cisza, świeca się dopalała, Celina słyszała, jak się siostry kładły do łóżek i jak mimo irytacyi w krótkim czasie zasnęły. Ona ciągle czuwała, wysilając myśl swoją nad tem zagadnieniem, czy rzeczywiście popełniła co złego, czy naprawdę zabrała jakąś własność Jadwidze.

Nazajutrz zapanowało głuche milczenie, żadna z kobiet nie odzywała się do niej, lecz Celina nie zważając na to, prędko wypiła zimną kawę i pobiegła do szkoły. Poobiedzie, które również upłynęło w milczeniu, pełnem groźnych zapowiedzi, porozchodziły się, a Celina z westchnieniem ulgi i z książką w ręku usiadła pod oknem, korzystając z reszty światła.

Jasny styczniowy dzień chylił się ku zachodowi. Przez mętne szyby widać było zimowy seledyn nieba, a z boku wychodził blady sierp księżyca. Książka wysunęła się z rąk Celiny, zamyśliła się, jak żywy stanął przed nią pan Michał w swej nowej postaci, pokorny, cichy, zapatrzony w nią swemi pięknemi oczami. Czy przyjdzie, czy dotrzyma przyrzeczenia? — szepnęła, przypominając sobie jego słowa pełne znaczenia. W tem usłyszała dzwonek. — Czyżby to był on — pomyślała z biciem serca — a może która z nich — pospieszyła do drzwi, a otwierając, zobaczyła pana Michała.

— Wszakże pani sama — zapytał zrzucając futro — przynajmniej widziałem, jak wychodziły z bramy.

— Czy podglądał pan gdzie z boku? — uśmiechała się, walcząc z coraz większem zmięszaniem i prowadząc go do tak zwanego salonu.

— Czyż inaczej mógłbym z panią porozmawiać — rzekł poważnie, siadając obok kanapki, na której zajęła miejsce Celina.

— Czy pani już odpoczęła — dodał, patrząc na jej twarz, z której pomału schodził rumieniec — wydaje mi się pani jakby zmęczona.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

43 I.

— Markus Henner nigdy nie umrze — wyrzekł John tajemniczo.
— Oh!
— On posiada eliksyr długiego życia!
— To nędznik! oszust!
— Lękam się go — westchnął służący drżąc nerwowo.
— Ale ją chcesz ratować — nieprawdaż? — nalegał Robert Alimena, wyczuwając, że jest to jedyny środek do zwalczenia jego wahania.
— Chciałbym... proszę mi wierzyć, że chciałbym z całego serca... ale to mi się wydaje rzeczą niemożliwą do zrobienia...
— Dlaczego niemożliwą?
— Markus Henner jest za silny, za potężny. Nie potrafimy nigdy uśpić jego czujności.
— Jeżeli nam pomożesz Johnie, zdołamy to uczynić.
— Umrzemy wszyscy...
— Choćby nawet! — zawołał Robert Alimena zduszonym przez wzruszenie głosem.
— Ale ja nie mam ochoty umierać — bronił się John.
— Przekonasz się, że nikt z nas nie umrze, a ją potrafimy ocalić — wyrzekł nakazująco Robert, teroryzując wzrokiem służącego.
— Gdyby nawet nam się to udało, Markus Henner odnajdzie nas wszędzie. On zawsze dojdzie do tego, czego pragnie.
— Ale miłości Maryi nie zdobył — wycedził Robert przez zaciśnięte zęby.
— Co pan o tem wiedzieć może!
— Mówiłeś to sam i mam nadzieję, że tak jest!
— Ale któż pan jesteś właściwie? — zapytał John, niepewny, czy może tego nieznanego obdarzyć całem zaufaniem.
— Nieprzyjaciel Markusa Hennera — odparł otwarcie Robert.
— Dlaczego jesteś pan jego nieprzyjacielem? — badał dalej służący.
— Bo bez najmniejszej do tego przyczyny uczynił mi co tylko mógł najgorszego.
— A więc to walka pomiędzy wami?
— Tak — walka straszna. Ale ja zwyciężyć go muszę.
— Markus Henner jest najsilniejszym z pomiędzy ludzi — szepnął z ogromnem zniechęceniem John.
— Jest Bóg — On nam pomoże!
— Pani moja tak się modliła do Niego!
— Czy rzeczywiście ona tak wiele się modli? — zapytał ciekawie Robert.
— Tak. Prawie dzień cały.
— I nienawidzi Markusa Hennera?
— Nienawidzi go.
— On ją kocha?
— Uwielbia ją.
— I dręczy ją na swój sposób?
— Co robić? Pani Marya kochać go nie może, więc się mści.
— Nędznik podły! A ona? — zapytał nieśmiało Robert — czy nie kocha kogo innego?
— Nie. Nie myślę... nie wiem zresztą...
— Nie wspomina nikogo?
— Nigdy.
— Nigdy nie miała męża, albo kochanka?
— Być może... można przypuszczać...
— Co przypuszczasz panie Johnie?
— Że miała męża.
— Nie jesteś tego pewnym?
— Jestem pewnym tylko jednej rzeczy.
— Jakiej?
— Pani Marya ma córkę.
— Córkę? Gdzie?
— Nie wiem... wiem tylko, że ta córka żyje.
— Duża? W jakim wieku?
— Dwadzieścia lat.
— Pani Marya jest więc starą już?
— Nie panie!
— Ile ma lat?
— Trzydzieści ośm... czterdzieści...
— Oh! to ona jest jeszcze młoda — westchnął z ulgą Alimena — i może mieć dwudziestoletnią córkę. Gdzie ona jest?
— Daleko stąd... rozłączona z matką. Może to Markus Henner je rozłączył z sobą. Z tego to powodu pani moja płacze ciągle.
— Imię tej córki?
— Rachela.
— Rachela?! Gdzież to imię słyszałem już? — szepnął ze zdziwieniem Robert.
— Co pan mówi? — zapytał John, który ulegał już atmosferze, w której się znajdował.
— Nic — odparł Robert. — Panie John, powiedz mi coś jeszcze o pani Maryi. Czy często mówi o swojej córce? Czy koresponduje z nią?
— Nie, panie. Ona nie wie, gdzie ta córka teraz się znajduje; i to od lat już piętnastu. Levi i ja przypuszczamy, że doktór Henner wykradł panią Maryę i zabrania jej widywać się z mężem i córką, że raz utrzymuje przed nią, że córka ta już nie żyje, to znowu przysięga, że znikła niespodziewanie. Jednem słowem on dręczy bardzo panią Maryę i oszukuje ją w stosunku do tej córki.
— Któż to jest ten Levis?
— To zarządzający domem, człowiek zaufania Markusa Hennera, jego powiernik — odparł John.
— I on oczywiście również jest stróżem pani Maryi?
— Nie, proszę pana. On ją tak kocha, jak my wszyscy w domu ją kochamy. Bardzo często, kiedy Markus Henner wydaje mu rozkazy przeciw pani Maryi, Levis nie wykonuje ich. Naprzykład pani Marya ciągle pisze listy do swojej córki. Biedna kobieta nie wie, gdzie wysyłać te listy, a jednak zachowuje je i ciągle pisze dalej, bez przerwy. Markus Henner nigdy nie mógł się dowiedzieć, gdzie ona te listy ukrywa. A jednak Levis wie o tem na pewno.
— Johnie! — zawołał nagle Robert. — My musimy ją uwolnić z rąk tego nikczemnika!
— Dwa razy usiłowała już uciec — odparł John. — Levis musiał być jej wspólnikiem, ale plan był źle ułożony i pani Marya nie miała pieniędzy. A przytem od lat piętnastu, jak przebywa w zamknięciu, zdala od świata, odwykła od ludzi i nie byłaby w stanie dwóch kroków postąpić sama.
— Zaopiekuję się nią i bronić jej będę — wyrzekł z mocą Robert. — Ale bez waszej pomocy Johnie nic się nie da zrobić — dodał patrząc na niego błagalnie.
— Co pan zamierza uczynić z panią Maryą? — zapytał John już nawpół przekonany.
— Chcę ją przedewszystkiem uwolnić z więzienia i odsunąć od zgubnego dla niej wpływu Markusa Hennera, następnie połączyć ją z córką.
— Pan kocha panią Maryę?
— Tak, kocham ją.
— Ale pan jej nie zna?
— Nie znam jej, ale ją widziałem.
— Gdzie?
— W Rzymie, w pewien wieczór karnawałowy.
— A ona zna pana?
— Nie. Ale dacie jej Johnie ten list — rzekł Robert, wyciągając stanowczym ruchem kopertę z kieszeni.
— To jest list miłosny, nieprawdaż? — zapytał Jon, uśmiechając się zlekka.
— Tak i nie. Pani Marya musi się dowiedzieć, że posiada oddanego przyjaciela, zdecydowanego uratować ją. Przyjaciela, który cały majątek swój i życie odda za wyratowanie jej z rąk Markusa Hennera.
— On nas wszystkich zabije! — powtórzył służący, drżąc całem ciałem.
— Posłuchaj mnie, John — odezwał się nagle Dick Leslie, milczący dotąd. — Nie umrzesz i nikt nie umrze, jeżeli się weźmiemy tak jak należy do rzeczy. W których godzinach pani Marya jest samą?
— W nocy — odparł służący ze znaczącym półuśmiechem.
— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał Dick Leslie, podczas kiedy Alimena nie spuszczał z oka mówiącego.
— Chcę powiedzieć, że pani Marya nigdy nie chciała zająć wspaniałej sypialni, przygotowanej dla niej przez Markusa Hennera i którą doktór wozi ze sobą, gdziekolwiek się udaje. Pokój ten, buduar i gabinet tualetowy są zawsze niezamieszkane. Pani Marya mieszka w małym pokoiku, zupełnie ogołoconym, gdzie znajduje się tylko łóżko żelazne i stół z dwoma stołkami. Co wieczór Markus Henner podchodzi do drzwi tego pokoju i rozmawia z nią poprzez drzwi zamknięte, usiłując wejść do środka. Ona mu odpowiada zawsze z niechęcią, niekiedy z gniewem, albo i nie odpowiada wcale. W ciągu dnia udaje się czasem doktorowi widzieć panią Maryę, ale wieczorem nigdy. Dlatego wnoszę, że jedynie w nocy jest sama.
— Porwiemy ją zatem w nocy — rzekł Dick, który widocznie miał już plan gotowy, zrozumiawszy, że Alimena w tym stanie zdenerwowania nie był zdolnym do żadnej inicyatywy.
— Nie wydaje mi się to prawdopodobnem — zauważył John.
— Jak zamknięta jest główna brama?
— Kłódką skomplikowaną bardzo.
— Wspomniałeś Johnie, że Markus Henner często w nocy przyjmuje jakichś gości.
— Tak, często.
— Któż wówczas drzwi otwiera?
— Levis.
— A więc Levis zna sposób otwierania kłódki?
— Zapewne — przyznał niechętnie John.
— I zdradzi go nam?
— Być może. Można go o to zapytać.
— Czy uczynisz to, mój przyjacielu?
— Dobrze. Ale Levis zostanie zamordowany przez Markusa Hennera, jeżeli ten wykryje jego wspólnictwo.
— Nie. Wystarczy wmówić w niego, że pani uciekła rano, kiedy brama była już otwarta dla wszystkich.
— Ja i Levis w razie ucieczki pani Maryi będziemy zmuszeni opuścić służbę u doktora — oświadczył John, patrząc na Roberta.
— Jestem gotowy uczynić dla was co zechcecie — odpowiedział Alimena.
— Nie jestem wyrachowanym człowiekiem — ciągnął dalej John, trzymając wzrok utkwiony w stole. — Chcę tylko wyrwać panią Maryę z tego okropnego życia. Wierzę, że pan uczyni ją szczęśliwą. Nie znam pana, ale wierzę, że pan jest uczciwym i szlachetnym. A poza tem wszystkiem sam przyznać muszę, że Henner jest nędznikiem!
— I zbrodniarzem! — dorzucił gorąco Robert.
— Tak, ale dlatego właśnie on jest niebezpiecznym. Nie tylko tracę miejsce u niego, ale narażam życie.
— Powiedz mi zaraz, czego żądasz odemnie — rozkazał niecierpliwie Robert.
— Chciałbym w sam dzień porwania pani Maryi wsiąść na okręt płynący do Ameryki — odparł John.
— Z rodziną?
— Nie mam nikogo. Dlatego to, przychodzę tu, do tej szynkowni co wieczór. Chciałbym więc, aby mi opłacono koszta podróży i dano niewielką sumę, któraby mi pomogła próbować szczęścia w Ameryce.
— Dam wam pięć tysięcy franków i podróż opłacę. Czy to wystarczy?
— Wystarczy. A w razie nieudania?
— Nie zmienię warunków umowy — oświadczył Robert.
— Nie — przerwał Dick Leslie. — Jeżeli sprawa się nie uda, John dostanie tylko dwa tysiące i koszta podróży. Będzie mu więcej zależało na dobrem załatwieniu sprawy.
— To prawda — przyświadczył chętnie służący. — Oh! ten Henner to istny szatan!
— A Levis? — zapytał Robert, który widział jeszcze wiele punktów ciemnych w całem tem przedsięwzięciu.
— Pomówię z nim — odpowiedział John — a jutro poinformuję pana o jego warunkach. Zdaje mi się, że chętnie przyjdzie z pomocą, bo jest bardzo przywiązany do pani Maryi.
— Zabierzemy go może ze sobą — rzekł Robert.
— Pan będzie najlepiej wiedzieć co robić. Co do mnie, chcę wyjechać do Ameryki.
— A więc ustalmy trochę nasz plan — odezwał się Dick Leslie. — Późno już i niedługo zamkną szynk.
— Wyjdźmy lepiej — oświadczył Robert, który chciał jaknajprędzej zakończyć już tę rozmowę.
W kilka chwil później wszyscy trzej znajdowali się już na ulicy. Wybrzeże wydawało się jeszcze ciemniejsze, bo latarnie pogasły już oddawna. Szli jakiś czas w milczeniu, patrząc wokoło siebie podejrzliwie. Ale wybrzeże było ciche i puste; widocznie to, co się stać miało tu, tej nocy — stało się już. Kiedy wyszli na ulicę lepiej oświetloną — John zatrzymał się pierwszy.
— A więc? — zapytał przyciszonym głosem.

(Ciąg dalszy nastąpi)

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM II.

39

Mało było ludzi w kawiarni i ci byli synami Wschodu -- dwaj Egipcyanie, murzyn i trzej czarni żołnierze z Sudanu. Ci wschodni ludzie byli prawie nieruchomi, jakby pogrążeni we śnie.

— Dlaczego pan mnie tutaj przyprowadził? — zapytał Isaacson.

— Czy to panu sprawia przykrość?

— Nie, ale chciałbym wiedzieć, dlaczego pan wybrał tę właśnie kawiarnię ze wszystkich kawiarń Kairu?

— To jest bardzo stara, bardzo sławna wśród ludzi wschodnich palarnia haszyszu. Widzi pan te poczerniałe ściany, brak światła? Palacze haszyszu nie potrzebują zbytku ani jasności. Pragną tylko marzeń i mają je tutaj. Pan nie uwierzyłby, lecz są bogaci Egipcyanie wyższej sfery, ludzie, których się widuje na oficyalnych przyjęciach, balach, w pierwszorzędnych hotelach i którzy potajemnie zakradają się tutaj nocną porą, ażeby w towarzystwie najniżej stojących ludzi oddawać się marzeniom pod tym zakopconym dachem. Oto właśnie jeden z nich nadchodzi.

— Kiedy to mówił, Mahmud Barondi ukazał się u wejścia. Był w krajowym ubogim stroju; miał na głowie ciemny turban i ubrany był w długi wypłowiały „dżibbeh". Po zwykłym saalamie udał się do najdalszego, najciemniejszego kąta kawiarni, i siadł na podłodze. Stary arab przyniósł mu natychmiast „gozeh", fajkę podobną do nargileh, lecz bez wężowatego cybucha, Barondi wziął ją, wciągnął dym haszyszu i wypuścił go nosem i ustami.

— Wygląda na ubogiego Egipcyanina — szepnął Isaacson.

— Jest milionerem. Ale, czy pan go nie widział dzisiaj po południu!

— Gdzie?

— U Shephearda. Zajechał właśnie faetonem, zanim pana spotkałem.

— Ten z rysakami? Ależ to niepodobna!

— Po południu był milionowym kosmopolitą. Wieczorem zanurza się w rodzinnym Wschodzie.

— Kto to jest?

— Mahmud Barondi.

— Mahmud Barondi — powtórzył zwolna Isaacson.

Jakiś stary człowiek, który się wczołgał do kawiarni zaczął śpiewać cienkim, drżącym głosem pieśń o pałacach haszyszu. Jakiś młodzieniec począł tańczyć nieskończony taniec marzyciela, który za pomocą haszyszu został wprowadzony do cudownego, nieokreślonego świata.

— Powiem panu o nim później — szepnął Starnworth.

Tej nocy siedzieli do późna w hotelu. Starnworth był uradowany, że ma słuchacza więcej niż sympatycznego, który pojmował Wschód i przed którym mógł roztoczyć bogactwo swych znajomości. Isaacson chwytał, jak tylko żyd chwytać umie. Słuchał i słuchał, odzywając się mało. Starnworth zaczął mówić o dziwnej niezmienności, która jest w islamie i jak człowiek Wschodu pomimo najsilniejszych zewnętrznych wpływów zawsze do Wschodu należy.

— W każdym razie jest tak dotychczas — rzekł.

Na dowód tego przytaczał rozmaite przykłady. Mówił o arabach, o Egipcyanach, z którymi utrzymywał bliskie stosunki, których widział poddających się europejskim wpływom, których uważał za zupełnie z europeizowanych — jak się wyraził. a którzy, kiedy chwila nadeszła, okazali się „krajowcami" do szpiku kości.

— Tak bywa nawet kiedy jest krew mieszana — rzekł. Na przykład ten człowiek, którego pan widział dzisiaj palącego haszysz, owiniętego w stary, brudny dżibbeh, miał matkę Greczynkę. Mógłby mieć — a nawet bezwątpienia posiada — charakterystyczne skłonności greckie, lecz są one zawładnięte, prawie przytłumione Wschodem, który oddziedziczył po ojcu.

— Czy go pan zna?

— Nigdy z nim nie rozmawiałem, lecz dużo o nim słyszałem od egipcyan i od europejczyków. Wśród Anglików i wogóle cudzoziemców ma ogromne powodzenie. Jest mądrym człowiekiem i posiada dużo zalet. Lecz należy do Wschodu. Zdolny jest uczynić — tym, którzy Wschodu nie nie zgłębili — największe niespodzianki. Zwykłym oczom nie ukazuje nic — nic z tego, jakim jest. Wydaje się spokojny, praktyczny nawet zimny, zawsze nad sobą panujący, rachunkowy, lecz zarazem hojny, miły, grzeczny, ujmujący i obojętny. Często widywałem go w towarzystwie. Nawet na mnie wywarł takie wrażenie.

— A jakim jest w rzeczywistości?

— Gorąco czerwony w głębi, straszny w nienawiści i w miłości. Lecz nienawidzi duszą, a kocha zmysłami — jak mówią. Powiadają, że jest niewolnikiem swej duszy w nienawiści, a niewolnikiem zmysłów w miłości. Popełnił zbrodnie dla kobiet, jeśli mam wierzyć moim wschodnim przyjaciołom, a muszę przyznać, że jestem jednym z nielicznych europejczyków, którzy mogą wydobyć trochę prawdy od krajowców,

— Zbrodnie, pan powiada?

— Tak, odparł Starnworth w swój właściwy niedbały sposób. — Lecz nie dla swych własnych kobiet, nie dla piękności Wschodu. Barondi jest jednym z licznych Egipcyan, którzy waryują dla kobiet Europy i Nowego Świata, którzy warjują dla ich jasnej cery i delikatnego odcienia i połyskujących włosów. Pewnego sezonu była w tutejszej operze tancerka — Dunka, jasna blondynka, doskonały typ północnej piękności. Wydał na nią tysiące. Dał jej yacht, zabrał z sobą na wyspy greckie, do Neapolu. Była zaręczoną.

— Z nim?

— Z pewnym kupcem z Kopenhagi, bardzo bogatym człowiekiem. Barondi był zachwycony. Kupiec przybył do Kairu podczas drugiego sezonu tancerki. Barondi poznał się z nim, stał się jego przyjacielem, rozmawiał o interesach uczynił na Duńczyku wielkie wrażenie swemi praktycznemi zaletami. W rezultacie Duńczyk został zrujnowany i powrócił do Kopenhagi minus swój majątek i minus naturalnie swą narzeczoną.

— A co się z nią stało?

— Nie wiem. Znikła z teatru. Lecz co najlepsze, to, że Duńczyk do tej pory klnie się na Barondi'ego, uważając go zawsze za swego przyjaciela i jest przekonany, że wszystko, co go spotkało, to tylko z jego własnej winy. Lecz są jeszcze o wiele gorsze rzeczy. Barondi jest człowiekiem, który się przed niczem nie cofnie, jeżeli chodzi o kobietę, do której ciągną go zmysły. Na przykład:

I opowiadał o Barondim historye, nieznane Anglikom w Egipcie, lecz znane niektórym Egipcyanom, którzy się z nich uśmiechają. Nie jedna z nich brzydko brzmiała dla europejskiego ucha.

— Jest Turko-egipcyaninem, jak panu wiadomo — ciągnął Starnwoth — posiada chytrość Bosforu zaszczepioną na chytrości, która kwitnie w cieniu Sfinksa. My nazwalibyśmy go łotrem, ale Turko-egipcyanie mają inny kodeks moralności. Muszę się przyznać, że podziwiam tego człowieka. Pracownik, kochanek, wróg. W rzeczywistości rządzi nim namiętność do kobiet, według tego, co mówią Egipcyanie, którzy go dobrze znają. Arabowie literalnie waryują dla białej twarzyczki i jasnych włosów, tak jak i Egipcyanie. A jak raz nimi namiętność zawładnie, to są siłą dla Anglików prawie niezrozumiałą. — Znałem jednego araba z Sahary, który wyłamał bramę w oberży El-Kelef i poderżnął gardło Francuzce, która ją trzymała, tylko dlatego, żeby zabrać trochę pieniędzy i posłać je do Paryża dziewazynie, którą tam poznał podczas wystawy. A stara Francuska była jego przyjaciółką od lat szesnastu, prawie go wychowała, pisywała za niego listy do turystów i sportmenów, których był przewodnikiem. Mahmud Barondi uczyni to samo dla kobiety, którą pożąda z tą tylko różnicą, że uczyni to intelektualniej.

Starnworth mówił i mówił, wreszcie powiedział dobranoc. Wychodząc spojrzał jeszcze na Isaacsona. — Inny kodeks jak pan widzi — dodał.

Wyszedł i cicho zamknął drzwi za sobą.

Pomimo, że było późno i że Isaacson był po podróży, czuł się zupełnie rozbudzonym i nie miał ochoty spać. Musiał jednak udać się na spoczynek i zaczął powoli się rozbierać.

Był w Kairze! Wokoło niego był Kair ze swymi domami, zamieszkałymi przez śpiących obecnie egipcyan, z haremami, meczetami! Niedaleko stąd leżał wśród piasków Sfinks zapatrzony na wschód.

Rozbierał się pomału. Wschodnie życie przedstawiało się jego wyobraźni jak długa, dziwna procesya. W tej procesyi Mahmud Barondi powoził rysakami i chodził prawie jak żebrak w wypłowiałym „dżibbeh". Nagle procesya ustała i Isaacson ujrzał mroczną kawiarnię w zaułku Kairu i siedzącego w niej na podłodze Mahmud Barondi'ego wciągającego dym haszyszu do swych nozdrzy,

Nareszcie Isaacson był gotów do łóżka, lecz umysł jego był wciąż rozbudzony. Dzienniki, które kupił po południu leżały na stole. Możeby je przejrzał? Wziął jeden z nich, "The Morning Post" otworzył i przypadkowo spojrzał na środkową stronę.

„Nagła śmierć hrabiego Harwich".

— Tak więc brat Nigla umarł i gdyby nie bliźnięta niedawno narodzone, Mrs. Armine byłaby obecnie hrabiną Harwich! Isaacson prędko przeczytał ten ustęp, otworzył okno. Usłyszał okrzyk, który go przejął do głębi i pobudził krew do szybszego krążenia.

Z minaretu muczzin nawoływał wiernych do modlitwy, kiedy pierwszy promień słońca, jakby ostrze dalekiej lancy przeszywał pierś Wschodu.

— Al-la-hn-akbor! Al-la-hn-akbor!

VIII.

Isaacson przybył do Egiptu bez określonego planu. Wiedział tylko, że chce się widzieć ze swym przyjacielem. Nie zawiadomił go, że przyjeżdża i teraz, będąc w Kairze nie starał się skomunikować z Lonlią. Pojedzie w górę Nilu, odnajdzie wspaniałą łódź i któregoś dnia stanie przy niej na brunatnym brzegu; zobaczy swego przyjaciela na pokładzie, zawoła na niego i przejdzie kładką na łódź. Nigel będzie zdumiony.

A Mrs. Armine?

Nieraz w ciągu swej podróży Isaacson zastanawiał się, jaki będzie wyraz oczu Bella Donny, kiedy wyciągnie do niej rękę. Te oczy już drwiły z niego, śmiały się ironicznie. Raz nawet zdawały się grozić.

— Jak go powitają w Egipcie?

Nie przypuszczał, żeby śmierć Lorda Harwich powołała Nigla do Anglii. Umarł nagle, niepodobieństwem było dla Nigla zdążyć na pogrzeb. Isaacson wiedział, jakie było zapatrywanie Harwich'a na stosunek jego brata z Mrs. Chepstow, co o tem myślała i mówiła Lady Harwich. Nie było prawdopodobnem, ażeby podróż jego przyjaciela po Nilu została przerwana śmiercią brata. A jednak to nie było niemożliwe. Isaacson to rozumiał i następnego dnia spotkawszy jednego z swych londyńskich znajomych, człowieka, który wiedział wszystko o wszystkich, wspomniał o śmierci Harwich'a i zapytał, czy Armine pojedzie do Anglii.

— Nie, on zanadto chory! — było odpowiedzią. Isaacson wspomniał na list swej pacyentki z Luksoru.

— Co mu jest? — zapytał.

— Porażenie słoneczne, jak mówią. Wyszedł w południe bez kapelusza — to zupełnie do niego podobne — i doznał porażenia. Nie przypuszczam, żeby to było coś groźnego, lecz niemniej jest ciężko chory.

— Czy pan wie, gdzie się znajduje ich łódź — Lonlia?

— Gdzieś pomiędzy Luksorem, a Assnan, zdaje mi się. Armine i jego żona to prawdziwa para turkawek, wie pan — zawsze razem i stronią od ludzi. Nigdy się ich nie spotyka, chyba przypadkowo. Ona gra rolę wzorowej żony. Ciekawym, jak długo to potrwa!

W śmiechu jego brzmiała cyniczna niewiara. Kiedy odszedł Isaacson udał się do biura Cook'a i wziął bilet do sypialnego wagonu w pośpiesznym pociągu odchodzącym do Luksoru. Zwiedzi cuda Kairu, Piramidy, Sfinksa, później jeżeli będzie miał czas, jeżeli nie, wcale ich nie zobaczy. Nie przyjechał z Londynu żeby je oglądać. Oto była prawda.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Kto raz powiedział sobie „a“, powiedzieć musi także i „b“, choćby ono było naprawdę całkiem „be“...

W tem niezbyt miłem położeniu znalazł się i kronikarz, zaczynając w maju politykowanie, choć, jak się już raz rzekło, miesiąc ten nie nadaje się zupełnie do prowadzenia polityki. Ale trudno!... Zaczęło się z tej beczki, trzeba ją zatem wypróżnić, aby beczkę módz sprzedać, gdyż dziś i one są w cenie. Na swem politykowaniu, jak sądzi, nie wyjdzie przecież tak, jak Lloyd George na swojem, już choćby tylko z tego powodu, że nie szuka, jak on, dziury na całem, przeciwnie, dążeniem jego jest załatanie różnych dziur. To tylko bieda, że tych dziur coraz więcej i właściwie się nie wie, od której zacząć. Wszystkie one są bardzo poważne i przeziera przez nie nasza golizna, na której widok aż się na płacz zbiera. Ta serya kronikarskiego politykowania nie jest zresztą „majową“. Uwagi swe pisał wprawdzie w maju, do rąk Czytelników dostaną się one jednakowoż dopiero w czerwcu, gdyż maj, Bogu dzięki, należy już do przeszłości, zaś razem z nim i „majowe“ kłopoty. A zatem do rzeczy...

Tego bigosu politycznego, którego obecnie nikt zjeść nie chce, nawarzył Lloyd George, jak się przedtem wydawało, kucharz pierwszorzędnej wartości, jak się zaś dziś pokazuje, zwykły fuszer, który do wszystkich potraw ma jeden jedyny uniwersalny sos angielski. Na jego polityczno-kulinarnych zdolnościach poznali się już nawet i Anglicy, a „Morning Post“ nawymyślał mu od smarkaczów, którym grać w guziki, a nie bawić się w szerszą politykę. Anglia, nazywająca się także „Wielką Brytanią“, dzięki polityce Lloyda George'a, może bardzo łatwo... zejść na psy. *Nomen omen*... a tego nie pragną ci z Anglików, którzy trzeźwiej od niego zapatrują się na sytuacyę. W mowie swej, która tyle narobiła w świecie hałasu, udowodnił, że wiadomości geograficzne i historyczne, jakie wyniósł ze szkoły, są bardzo skąpe i zagmatwane, przekonał też, że jest i lichym adwokatem, zamiast bowiem wystąpić w roli obrońcy swego klienta, zabawił się w prokuratora, wylewając nań cały cebrzyk oskarżeń i to bezpodstawnych. Opamiętał się wprawdzie, gdy go Witos pouczył, gdzie leży Śląsk i kto go zamieszkuje, tego złego przecież, jakie nam i całej Koalicyi wyrządził, nawet i to oświadczenie nie poprawi. Widać z tego, że można uchodzić w oczach ludzi za wielkiego polityka i męża stanu, a gadać całkiem głupio, potem się zaś tłómaczyć, że się miało na myśli zupełnie co innego.

Że maj do polityki się nie nadaje, przekonał się o tem i Lloyd George, a u nas pan Stanisław Grabski i obaj zapewne już nigdy nie spróbują w maju szczęścia, które jak widzimy odwróciło się do nich „smutną twarzą“. Występ londyński pierwszego, a warszawski drugiego stoją ze sobą w ścisłym związku i odbiły się fatalnie na naszych stosunkach. Zdawało się początkowo, że się skończy na dymisyi ks. Sapiehy, tymczasem pokazało się w dalszym ciągu, że cały gabinet może się rozlecieć, nowy nie zlepi się tak łatwo, gdyż brak do tego politycznego klajstru.

W chwili, gdy kronikarz pisze te słowa, w Warszawie odbywają się targi między stronnictwami, z których każde chciałoby na swój sposób zbawić Polskę. Każde z nich spieszy „z kluczem“ w ręku, dowodząc, że tylko ono może nam otworzyć lepszą przyszłość, ale pod warunkiem, że otrzyma te teki ministeryalne dla swych członków, które uważa za najważniejsze. Ten nieszczęsny „klucz partyjny“, który nam już tyle wyrządził złego, mógłby raz wreszcie wpaść w wodę, a z pewnością nie odczujemy jego braku, jako całość, nad jego stratą mogłyby zapłakać chyba poszczególne stronnictwa, mające na celu jedynie własny interes, a nie *salus Reipublicae*.

Dotychczasowi ministrowie pakują zatem kufry, aby być na wszelki wypadek gotowi do wyjazdu, kandydaci na ich miejsca uczą się przed lustrem, jaką mają robić minę, występując w nowej dla siebie roli „zbawców Ojczyzny“...

Gdyby u nas istniała firma spedycyjna, zajmująca się jedynie przewożeniem ministrów i ich ruchomości, miałaby dość zajęcia i nie potrzebowałaby się oglądać za innym zarobkiem, tak często następują zmiany na różnych fotelach ministeryalnych, nie mówiąc już o tak zwanych „podsekretarzach stanu“, to jest pomocnikach ministra. A jest ich u nas cała moc i dlatego nie należy się dziwić, iż nasi ministrowie mało robią, mając od tego pomocników. Że zaś i pomocnicy nie są zbyt przeciążeni pracą, jest to następstwem, iż w naszych ministerstwach wogóle nie ma dużo do roboty.

Niespełna dwa lata mamy swą samodzielność, rządzimy się jak nam się podoba, a „emerytów“ ministeryalnych możemy już liczyć na tuziny, niedługo na kopy. Moglibyśmy „ten towar“ odstąpić sąsiadom nawet po zniżonych cenach, choć należy bardzo poważnie wątpić, czy znalazłby się nań amator. W braku cukru moglibyśmy ich wymienić n. p. za sztuczne nawozy skoro, dzięki ich gospodarce, naturalnych nie mamy z czego wyrabiać. Pod względem liczby tych „emerytów“ niedługo zdystansujemy nawet ś. p. ces. król. Austryę, która dotąd w tym kierunku prym wiodła między państwami Europy, mając na tysiąc mieszkańców jeden i trzy czwarte emerytowanego ministra. Najwygodniejszy bywał tam fotel obrony krajowej, na którym rozsiadali się różni staruszkowie, aby sobie wypocząć, a jeden prezydent gabinetu oddawał ich w inwentarzu drugiemu.

Taka firma spedycyjna, któraby się zajęła przewożeniem ministrów, mogłaby się nazywać „O. P. K.“ (Onufry pakuj kufry!...) O koncesyę ma zamiar starać się kronikarz, mając dość doświadczenia w tym kierunku z czasów początku wojny, gdy żyliśmy pod groźą ewakuacyi, niepewni dnia i godziny, a każdy siedział na swych manatkach, niczem „mysz na pudle“...

Zanosiło się u nas początkowo na przesilenie na tych trzech fotelach ministeryalnych, to jest zagranicznym, opieki społecznej i aprowizacyi, tymczasem pokazało się, że cały gabinet już trzeszczy i chce się rozlecieć. Bednarzem, który go miał ratować od rozsypania się, miał być Witos, ale robota jakoś idzie mu nieskoro, a to właśnie dzięki owemu wyżej wspomnianemu kluczowi partyjnemu, według którego mają poszczególne stronnictwa dostarczyć klepek potrzebnych do reperacyi. Te właśnie klepki sprawiają trudności tak przy załatwianiu częściowego przesilenia, jak i ogólnego. W tym drugim wypadku położenie jest jeszcze bardziej poważne, im więcej bowiem trzeba klepek, tem o dobór ich trudniej.

Nie należy jednak sądzić, że brak nam kandydatów. Owszem, jest ich aż nazbyt wiele i dlatego wybór nie tak łatwy. Do służenia Ojczyźnie na fotelu ministeryalnym chętnych dość, co świadczy bardzo pięknie o poczuciu naszego społeczeństwa. Inna zupełnie rzecz, czy się do zajęcia tego stanowiska nadają, gdzie same dobre chęci nie wystarczą.

Na to pytanie musi się niestety odpowiedzieć słowy Pisma Świętego, iż „wielu jest wezwanych, ale mało wybranych“ i w tem także leży powód, iż trudno przyszłoby się pozbyć „emerytów“, nadających się chyba na *szmelc*...

W jaki sposób zostanie przesilenie zażegnane, tego kronikarz nie może przewidzieć, nie wątpi przecież, czy to Witos czy kto inny, będzie miał dość kłopotu ze zlepieniem jakiej takiej całości, która dawałaby gwarancyę, że wytrzyma bodaj kilka tygodni. Poważniejsi kandydaci nie kwapią się też i z tego powodu, że w najlepszym nawet razie dni nowego gabinetu są policzone, gdyż Konstytucya musi raz już wejść w życie, a z tą chwilą musi się też zmienić i dotychczasowy ustrój państwowy. Siadać zaś po to tylko i to na niewygodnem krześle, aby niedługo musieć zrobić komu innemu miejsce, to się chyba nie opłaci.

Kronikarz na razie nie kandyduje. Miałby wprawdzie apetyt na sztukę, ale nie na tę, która chodzi w parze z kulturą, lecz na porządną sztukę mięsa, jakiej od lat nie widzi, a wspomina ją jedynie z czasów przedwojennych. Mimo zatem, że będzie się starał uchylić od pełnienia obowiązków obywatelskich na fotelu ministeryalnym, a takich jak on będzie więcej, nie należy się obawiać, aby nowego gabinetu nie można było złożyć z powodu braku kandydatów. Tych nigdy nie brakuje, choć wiedzieliby, że jutro już trzeba się będzie podać do dymisyi. Zawsze to ładniej wygląda, nawet w państwie demokratycznem, gdy sobie można na bilecie wizytowym wypisać „były minister“.

Kronikarz wzdycha jednak do chwili, aby raz nareszcie stał się „cud nad Wisłą“ to jest nie taki, jak większość dotychczasowych, iż „dziad przemówił do obrazu, a obraz do niego ani razu“..., lecz prawdziwy, na jaki czekamy i jaki sobie życzymy, to jest, aby nasi mężowie stanu i kandydaci na nich nareszcie doszli do przekonania, że kierować się mają nie interesem partyi, lecz ogółu. Jak długo nie przyjdzie do tego, nie możemy na to liczyć, aby nasi sprzymierzeńcy brali nas seryo i nie dążyli do rozciągnienia nad nami kurateli, jako nad marnotrawcami, wyrządzającymi szkodę nie tylko sobie ale i sąsiadom. Gdyby u nas działo się inaczej, z pewnością taki Lloyd George nie traktowałby nas „przez nogę“, jak to obecnie czyni, ale starałby się utrzymać z nami jaknajlepsze stosunki. Na razie woli się bratać z Niemcami, choć to jego konkurenci handlowi, wiedząc, że w danej chwili może na nich bardziej liczyć, niż na nas. Jeśli u Niemców wchodzi w grę interes ogólny, zapominają o tem co ich dzieli, czują się jedynie Niemcami i kierują się tylko tym ogólnym interesem. Tak samo postępują i nasi sąsiedzi wschodni, Rusini. Kłócą się wprawdzie między sobą, gdy jednak przychodzi do zaatakowania „*Lachuw*“, różnice znikają, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Tylko my takiego cudu nie możemy się doczekać. Każde ze stronnictw stara się zbawić Ojczyznę na swój sposób, który uważa za jedynie do celu wiodący i nawet nie zdaje sobie z tego sprawy, że działa nie w interesie ogółu, lecz na jego szkodę, mając stale przed oczyma cele partyjne. Tak było n. p. z reformą agrarną, na której Polska wyjdzie jak Zabłocki na mydle, to samo powtórzyło się teraz, gdy pan Stanisław Grabski wystąpił z wotum nieufności dla ks. Sapiehy. I wówczas ludowcy i dziś narodowi demokraci działali tylko na swą korzyść *pro domo sua*, nie zdając sobie z tego sprawy, jakie mogą być następstwa. Szczególniej zdyskredytowało nas w oczach zagranicy ostatnie wystąpienie pana Grabskiego. Na krok podobny pozwolić sobie mógł chyba człowiek zaślepiony lub kompletny ignorant. A, że tem drugiem nie jest, pozostaje zatem pierwsza ewentualność. Bo przyzna chyba każdy, że jakoś to dziwnie wygląda, jeśli się wysyła za granicę ministra spraw zewnętrznych, aby tam załatwił najważniejsze i najpilniejsze dla państwa sprawy, a tymczasem, pod jego nieobecność ogłasza się publicznie, że się mu nie wierzy i nie ma doń zaufania. Pan Grabski nie zdaje sobie może z tego sprawy, jaką krzywdę wyrządził Polsce swym niefortunnym występem, podyktowanym bynajmniej nie interesem ogółu, ale mającym podkład wybitnie partyjny. Podobne praktyki nie przyczyniają się do wyrobienia nam zaufania u sąsiadów i sprzymierzeńców, owszem, podkopują je i dają powód do narzekań, że „wolno w Polsce, jak kto chce“...

A takiego sojusznika nikt chyba nie pragnie, który w swym własnym domu nie potrafi mądrze gospodarować!...

Nie dziwmy się zatem, że nasi sąsiedzi i sprzymierzeńcy albo sobie z nas nic nie robią, albo chcieliby nad nami roztoczyć swą kuratelę. Ci, którym zależy na naszem istnieniu, widząc zatem że nie potrafimy sami u siebie zaprowadzić porządku, starają się to uczynić za nas, aby nam nie dać zginąć. Interes wchodzi tu jedynie w grę, nie sentyment!...

Z wielkiej chmury mały deszcz. Zanosiło się na przesilenie, którego następstwem miała być zmiana całego gabinetu, tymczasem jak się z ostatnich depesz okazuje, skończy się na zmianie kierownika naszych spraw zagranicznych. W grę nie wchodzą tutaj teki aprowizacyi i opieki społecznej, gdyż ustąpienie odnośnych ministrów nie pozostaje z ostatniem przesileniem w związku. Dymisyę swą zgłosili daleko wcześniej. Zwłaszcza pana ministra aprowizacyi żegnamy bardzo serdecznie życząc mu większego powodzenia w dalszem życiu, niż je miał na fotelu ministeryalnym. A z mowy jego, przy obejmowaniu urzędowania, należało się spodziewać, że będzie on prawdziwym dobrodziejem naszych żołądków. Działalność swojego poprzednika skrytykował bardzo dosadnie, ale w tem samem położeniu znajdzie się i jego następca, który panu Grodzickiemu powinien poświęcić kilka gorzkich a zasłużonych słów prawdy.

Kto obejmie spuściznę po ks. Sapieże, tego jeszcze nie wiemy. Nie ulega wątpliwości, że wybór będzie trudny, gdyż, jeśli na które stanowisko, to właśnie na to i w takich jak obecne warunkach, potrzeba człowieka, mającego głowę nie tylko do noszenia kapelusza. Niejednego, któryby się może i nadawał do zajęcia fotelu spraw zagranicznych, odstraszy spadek po poprzednikach, którzy dużo błędów popełnili, a te należałoby jak najrychlej naprawić. Narodowa demokracya miałaby zamiar wyforytowania pana Dmowskiego na kierownika naszej zagranicznej polityki, wedle bowiem osławionego „klucza partyjnego“ ten portfel jej się podobno należy, na tego kandydata nie zgodzą się przecież inne stronnictwa. A możeby pan Stanisław Grabski, który wpakował kij w to mrowisko, zdecydował się na objęcie teki?... Może być pewny, że w najbliższym czasie znalazłby się jakiś inny pan Stanisław Grabski, który postarałby się o to, aby na najbliższej Komisyi spraw zagranicznych wyrazić mu wotum nieufności. Czytając nazwiska różnych kandydatów na fotel spraw zagranicznych, nie wiadomo doprawdy, śmiać się czy płakać. Wysuwa się niejednokrotnie najrozmaitsze miernoty, o których dotąd nikt nie słyszał i kwalifikacyi ich nie zna, a pomija się z zasady osoby, które w służbie dyplomatycznej odegrały już wybitną rolę, a to tylko z tego powodu, że do odnośnej partyi, rozporządzającej teką ministeryalną, nie należą. Wygląda to dziwnie, tak, jak gdyby niektórzy z naszych panów ministrów obawiali się, aby w ich gronie nie znalazł się człowiek naprawdę zdolny i odpowiadający zadaniu, a nie manekin, który tak się porusza jak się go nakręci, do którego można zastosować słowa: „Przebacz mu Panie, albowiem nie wie, co czyni“...

Pogrzeb górnośląskich powstańców w Częstochowie.

Bohaterskie wysiłki ludu górnośląskiego, upominającego się o swoje prawa, nie pozostały bez ofiar. Na polu walki legło wielu obrońców wolności, inni zmarli w szpitalach z odniesionych ran. Społeczeństwo polskie, oddając ostatnią posługę tym szermierzom wolności, złożyło tem samem hołd ich poświęceniu i miłości Ojczyzny.

W ubiegłym tygodniu odbył się w Częstochowie przy udziale nieprzeliczonych tłumów miejscowej i okolicznej ludności pogrzeb ośmiu górnośląskich powstańców, część ich stanowili mieszkańcy tamtejsi, którzy na pierwszą wieść o wybuchu powstania pospieszyli z pomocą swym uciśnionym braciom. Smutny obrzęd był zarazem żywiołową manifestacyą narodowych uczuć, był protestem przeciw pogwałceniu woli ludu górnośląskiego, uciskanego pod brzemieniem niewoli germańskiej.

Na dziedzińcu szpitala garnizonowego o godzinie 3 ej po południu, obok ośmiu skromnych drewnianych trumien, ustawionych rzędem, jak gdyby w szyku bojowym, na wzniesieniu z darni, zgromadziły się rodziny poległych ś. p. Ignacego Ziental, wychowańca tamtejszego Seminaryum nauczycielskiego, Kazimierza Gomoliszewskiego, ucznia VI. klasy gimnazyum państwowego, Jana Glińskiego i Czesława Stanika, członka Straży ogniowej ochotniczej. Pozostałe cztery trumny zawierały zwłoki bezimiennych bohaterów, których nazwisk na razie nie zdołano stwierdzić.

Przy trumnie ś. p. Ignacego Zientala, chór Seminaryum nauczycielskiego wykonał pożegnalną pieśń żałobną, poczem po odśpiewaniu egzekwi przez duchowieństwo, trumny na barkach młodzieży wyniesiono z dziedzińca szpitala. I olbrzymi kondukt żałobny, jakiego dotąd nie widziała jeszcze Częstochowa, w powodzi wieńców i pochodni, ruszył z miejsca. Na czele pochodu kroczyły szpalery młodzieży szkolnej ze wszystkich szkół miejscowych, nie wyłączając szkół żydowskich. Pośrodku niesiono przeszło 40 wieńców, ofiarowanych przez związki robotnicze, młodzież szkolną, stowarzyszenia i instytucye społeczne. Za szkołami postępowały cechy, związki i stowarzyszenia społeczne, kulturalne, przedstawiciele władz w osobach p. starosty Kühna, prezes Sądu Okręg. M. Kokowskiego, prezydenta miasta dra Marczewskiego, prezesa Rady miejskiej dra Nowaka, członków Magistratu i Rady miejskiej, Komitetu plebiscytowego, Koła Polek i Białego Krzyża, wreszcie wszystkich stowarzyszeń i instytucyi społecznych oświatowych.

Kondukt prowadził ks. prałat Nassalski przy udziale ks. kan. Ciesielskiego, OO. Paulinów oraz licznego duchowieństwa.

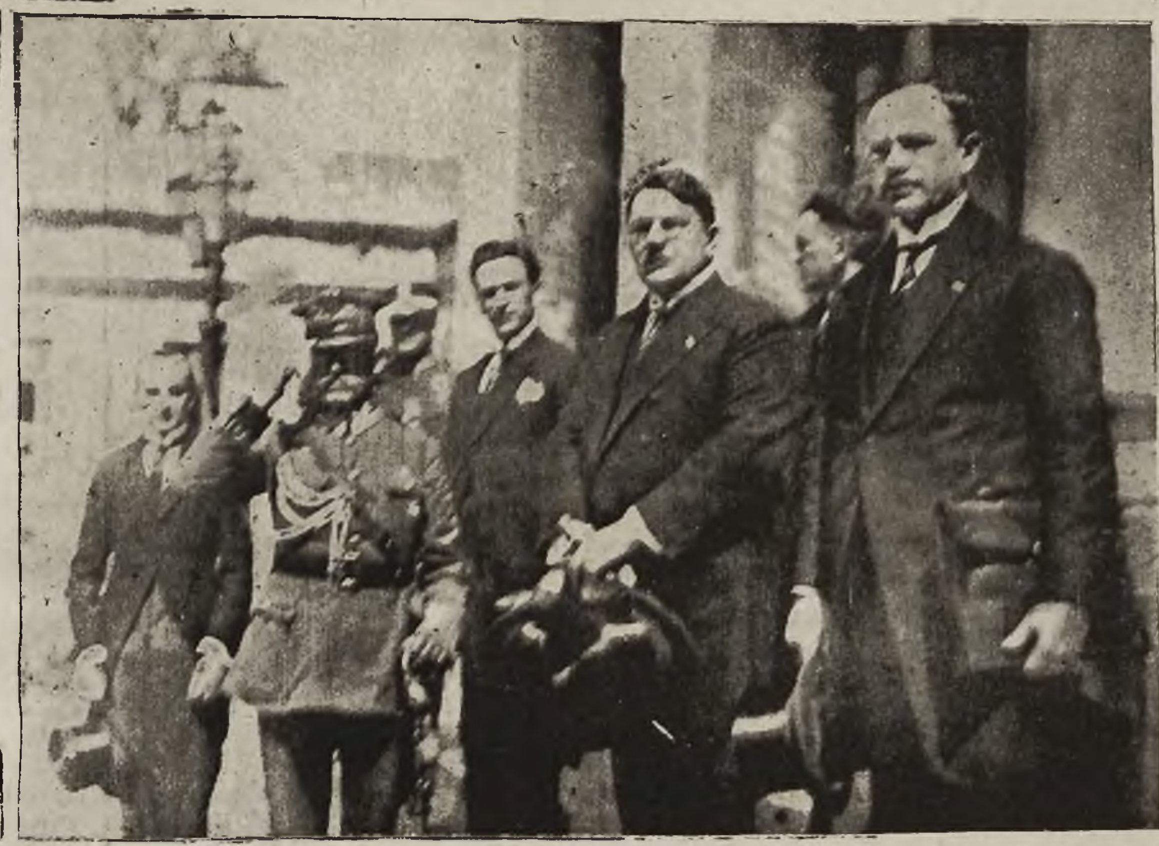
Przy dźwiękach marszy żałobnych dwu orkiestr: I. gimnazyum państwowego i Straży ogniowej orszak żałobny posuwał się zwolna i uroczyście przez Aleje...

Przodem niesiono dwie trumny na ramionach młodzieży szkolnej, za którymi postępowała rodzina oraz oddziałek powstańców górnośląskich, dalej niesiono trumnę strażaka ś. p. Czesława Stanika, otoczoną strażackiemi pochodniami, wreszcie niesiono w długim szeregu pozostałe pięć trumien.

Za trumnami postępowały delegacye stowarzyszeń i instytucyi oraz niezliczone zastępy ludności miasta. W pogrzebie wzięła udział również gmina żydowska, Tow. Dobroczynności oraz inne stowarzyszenia społeczne żydowskie. Ogółem w pogrzebie brało udział przeszło pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców miasta i okolicy.

Na cmentarzu św. Rocha piękne i wzruszające przemowy, podnoszące zasługi i bohaterskie poświęcenie naszej patryotycznej młodzieży, wygłosili ks. kan. Grochowski, dyrektor Seminaryum nauczycielskiego p. Sidor i poseł Piekarski. W imieniu powstańców pożegnalne wyrazy hołdu złożyli: delegat powstańców z Lublińca p. Rzeźniczek, oraz p. Antoni Kałczyński.

Przy składaniu zwłok do dwóch wspólnych grobowców oddział powstańców dał trzykrotną salwę karabinową. Poczem na grobach złożone zostały wieńce, kolejno składane przez szkoły i instytucye.



Nasze stosunki dyplomatyczne z zagranicą: Reprezentant Czecho-Słowacyi przy Rządzie polskim poseł Prokop Maxa po przyjęciu przez Naczelnika Państwa. Fot. Maryan Fuks, Warszawa.



Nasze stosunki dyplomatyczne z zagranicą: Delegacya rządu rumuńskiego przybyła do Warszawy w celu zawarcia z Polską układów handlowych. Fot. Maryan Fuks, Warszawa.



Pogrzeb górnośląskich powstańców w Częstochowie. Kondukt pogrzebowy z trumnami górnośląskich bohaterów.



Poświęcenie Centralnego dworca kolejowego w Warszawie: Uczestnicy uroczystości z ks. biskupem Szelążkiem ministrem Jasińskim i Eberhardtem na czele. Fot Maryan Fuks, Warszawa.

Poświęcenie Centralnego dworca kolejowego w Warszawie.

Jednem z niedomagań, na które narzekali stale tak mieszkańcy Warszawy, jak i ci wszyscy, którzy przybywali tam dla przyjemności lub interesu, był brak centralnego dworca kolejowego, w którym ześrodkowywałaby się komunikacya stolicy z resztą kraju i zagranicą. Cierpiał na tem handel i przemysł, cierpiała podróżująca publiczność, rząd rosyjski nie spieszył się jednak z zaradzeniem złemu, jak gdyby spodziewając się, że prędzej czy później nadejdzie czas, aby zabrać manatki i wynieść się z powrotem skąd się przyszło. Wogóle stosunki komunikacyjne w Królestwie Polskiem były zawsze w stanie nadzwyczaj opłakanym. Rząd rosyjski zaniedbywał je z umysłu w celach strategicznych, aby w ten sposób utrudnić nieprzyjacielowi dostanie się w głąb kraju. Głównym dworcem kolejowym warszawskim był dotychczas „Dworzec warszawsko-wiedeński", leżący przy głównej arteryi komunikacyjnej o światowem znaczeniu, łączącej Północ Europy z Zachodem. Na owe czasy, kiedy go budowano, był on może zupełnie odpowiedni swojemu przeznaczeniu, w miarę przecież jak Warszawa się podnosiła, stawał on się nie wystarczającym. Istniały prócz tego tak w Warszawie jak i na Pradze dworce kolejowe różnych bocznych linii, chcąc się przecież dostać z Dworca warszawsko-wiedeńskiego, na który z nich, trzeba było używać drogi pieszej lub kołowej, co było połączone ze stratą czasu i wydatkami. W podobny sposób cierpiała także podróżująca publiczność i w innych miastach europejskich, zwłaszcza starszego typu. W takim n. p. Wiedniu nie mało kłopotu sprawiało przybyszowi z Krakowa dostanie się z Dworca północnego na któryś inny, jeśli do tego miasta nie znał i językiem niemieckim nie władał.

Dążeniem też zarządów kolejowych we wszystkich ważniejszych środowiskach było zcentralizowanie ruchu w jednym punkcie, z którego możnaby z łatwością obrać każdy kierunek. W ten sposób powstały w wielkich miastach Europy i Ameryki wspaniałe dworce kolejowe centralne. Obecnie przyszła kolej i na Warszawę, gdzie na razie urządzono przy ulicy Chmielnej tymczasowy Dworzec kolejowy centralny, mający prowizorycznie służyć wygodzie podróżującej publiczności, dopóki nie stanie właściwy budynek, odpowiadający wielkości miasta i rozrostowi życia handlowego i przemysłowego, zatem budowla, na której wykończenie potrzeba lat całych i warunków, pomyślniejszych niż obecne.

Poświęcenie nowego tymczasowego Dworca odbyło się z końcem ubiegłego miesiąca w sposób uroczysty. Aktu poświęcenia dokonał ks. biskup Szelążek w obecności ministra kolei Jasińskiego i Eberhardta, przedstawicieli władz rządowych i miejskich, oraz reprezentantów świata przemysłowego i handlowego.



Poświęcenie Centralnego dworca kolejowego w Warszawie: Front budynku od strony ulicy Chmielnej. Fot. Maryan Fuks, Warszawa.



Książę Biskup krakowski na Nowej Wsi: Książę biskup Sapieha w towarzystwie superyora XX. Misyonarzy ks. Dihma, oraz rodziców chrzestnych sztandaru Stowarzyszenia „Dzieci Maryi" po akcie poświęcenia i wbijania gwoździ honorowych.

Książę Biskup krakowski na Nowej Wsi.

Książę biskup krakowski, ks. Adam Sapieha, rozwinął od chwili objęcia tego zaszczytnego a tak trudnego i odpowiedzialnego stanowiska nadzwyczaj ożywioną i owocną działalność, stwierdzając na każdym kroku, że jest prawdziwym ewangelicznym Pasterzem, gotowym do najdalej idących poświęceń, o ile rozchodzi się o dobro powierzonej jego pieczy owczarni. Niezatartemi głoskami zapisało się jego nazwisko w dziejach Krakowa, zwłaszcza w czasie wojennym, a dobrodziejstwa, jakie Komitet Książęco-Biskupi świadczył najuboższej i najbardziej potrzebującej pomocy ludności, zyskały mu szczerą i nigdy niewygasłą wdzięczność w sercach mieszkańców miasta i okolicy. Słabym dowodem uznania tych zasług było przyznanie mu przez Akademię Umiejętności pierwszej nagrody z fundacyi Jerzmanowskich, którą w całości przeznaczył również na cele filantropijne.

Dziś, gdy echa wojny już częściowo przebrzmiały, stara się Książę Biskup krakowski w dalszym ciągu o dobro swych dyecezyan, a troska jego zwróconą jest głównie w tym kierunku, aby im ułatwić spełnianie obowiązków religijnych i zaspakajanie potrzeb duchowych. Ku temu celowi ma służyć tworzenie nowych parafii. Jedna z nich ma powstać na Nowej Wsi przy kościele XX. Misyonarzy dla przyłączonych gmin Czarnej Wsi, Nowej Wsi, Łobzowa i Krowodrzy.

XX. Misyonarze pracują od szeregu lat bardzo gorliwie i skutecznie w tych dzielnicach i to tak w kierunku religijnym, jak i narodowym i kulturalnym, a dowodem zaufania i uznania, jakie potrafili sobie zdobyć w najszerszych sferach podmiejskiej ludności, może być fakt, iż nie nazywa ich ona inaczej, tylko „nasi księża“, osoba zaś czcigodnego superiora ks. Dihma, otaczaną jest ogólnym szacunkiem.

W dniu 22. maja b. r. przybył do kościoła na Nowej Wsi książę biskup Sapieha. Po odprawieniu nabożeństwa poświęcił Książę Biskup sztandar Stowarzyszenia „Dzieci Maryi“, oraz dwa sztandary tamtejszej korporacyi ogrodników, poczem udzielał sakramentu Bierzmowania. Sodalicya żeńska urządziła następnie w sali „Domu katolickiego“ uroczysty poranek z bardzo udatnym programem. Przy tej sposobności odbyła się uroczystość wbijania honorowych gwoździ do sztandaru „Dzieci Maryi“. Wziął w niej udział Książę Biskup, chrzestni rodzice, przedstawiciele duchowieństwa i obywatelstwa.

Stąd udał się Książę Biskup do Zakładu wychowawczego dla sierot w Łobzowie, ufundowanego przez ś. p. dra Buzdygana, a pozostającego pod zarządem Sióstr Miłosierdzia. Wszędzie przemawiał Książę Biskup, zachęcając do zgody społecznej, miłości Ojczyzny i przywiązania do Wiary.

Na ludność miejscową wywarło przybycie Księcia Biskupa i słowa przezeń wyrzeczone bardzo głębokie wrażenie, on zaś wyniósł stamtąd przeświadczenie, że duch katolicki w tych dzielnicach dzięki niestrudzonym zabiegom XX. Misyonarzy krzewi się bardzo pomyślnie.

Zakład wychowawczy im. X. Siemaszki.

Od r. 1882 istnieje przy ulicy Długiej l. 4[?] w Krakowie Zakład im. X. Siemaszki dla biednych i opuszczonych chłopców. Z małych początków, zrazu z charakterem więcej poprawczym, stał się z biegiem czasu wielkim Zakładem wychowawczym dla biedniejszej młodzieży. Zasadniczo przyjmuje się tylko sieroty i półsieroty, następnie dopiero, o ile miejsce pozwala, dzieci niezamożnych rodziców, którym praca, nędza lub choroba nie pozwalają zająć się należytem wychowaniem swych synów. Od r. 1906 otwarto filię tego Zakładu w Czerny pod Krzeszowicami, gdzie przebywają najmłodsi wychowankowie, w wieku od lat 7 do 12, t. j. przez okres czterech klas szkoły ludowej. Pierwszą klasę uczy nauczycielka w Zakładzie, na naukę klasy II, III i IV uczęszczają wychowankowie do szkoły ludowej w tej samej wiosce. Po ukończonej szkole ludowej tamże przechodzą chłopcy do Zakładu głównego w Krakowie i tu stosownie do zdolności i rozwoju fizycznego kończą dwie lub trzy klasy szkoły wydziałowej lub średniej, by potem pójść do nauki rękodzielniczej. Istnieją zatem w Krakowie dwa działy: uczniów szkół średnich i oddział terminatorów.



Zakład wychowawczy im. X. Siemaszki: Ćwiczenia gimnastyczne wychowanków na wolnem powietrzu.

Liczba wychowanków wynosiła w dniu 1 stycznia b. r. 260, z czego w Czerny było 106, w Krakowie 154.

Zapyta każdy, skąd czerpie Zarząd Zakładu fundusze na utrzymanie tylu osób?

Wydatki w r. 1920 były stosunkowo niewielkie, gdyż wynosiły 1,028,483.34 Mp. a to między innemi dzięki temu, że administracya nie kosztuje prawie nic. Zgromadzenie XX. Misyonarzy odstąpiło bowiem na ten cel bezinteresownie dom przy ul. Długiej i wspaniały budynek w Czerny wraz z czterema morgami ogrodu i pola, nadto przeznaczyło do tej pracy wychowawczej dwóch księży i trzech braci, których utrzymuje swoim kosztem. Zarząd gospodarczy zaś filialnego Zakładu w Czerny spoczywa w rękach dzielnych Górnoślązaczek, które również ideowo poświęciły się pracy nad biedną młodzieżą.

Mimo to wszystko ma Zarząd niezmiernie trudne zadanie z powodu braku jakichkolwiek stałych funduszów, a przy minimalnych dochodach z opłat za sieroty, które uiszczają:

Magistrat stoł. król. miasta Krakowa, Książęco-Biskupi Komitet, Tow. Ochrony Młodzieży, Rada Opiekuńcza Krak. — płacąc każda z tych instytucyi za swoje sieroty po 300 marek miesięcznie.

Tylko dzięki życzliwości wielu przyjaciół Zakładu, oraz niezmordowanym zabiegom Zarządu, udało się nie tylko przetrwać ciężki okres wojenny i powojenny, ale nadto postawić Zakład na takiej stopie, by odpowiadał dzisiejszym wymaganiom. Pod tym względem celuje zwłaszcza Zakład w Czerny, gdzie, obok sumiennej systematycznej nauki, pomyślano o sporcie, zabawach i przyjemnościach, które tym biedactwom mogłyby zastąpić bodaj w części dom rodzinny. I tak przed Zakładem urządzono olbrzymi basen kąpielowy, przez który przepływa wesoła górska rzeczka, na podwórzu widać krążnik, huśtawkę i przyrządy gimnastyczne, w ogrodzie obszerną bo 40 m. kw. liczącą altanę, gdzie letnią porą odrabiają chłopcy lekcye lub w dnie słotne urządzają zabawy. Do podniesienia stanu zdrowotności, oraz przyzwyczajania chłopców do czystości i porządku, służy ciepła kąpiel natryskowa i niemal luksusowo urządzona umywalnia z przepływającą ciągle przez dwanaście kurków wodą. Pomyślano tu i o kąpieli słonecznej na długim południowym balkonie. Rozmaite misye amerykańskie zwiedzając ten Zakład, wyrażały się z całem uznaniem dla tej placówki wychowania w uroczej dolinie Czerny.

O ile nam wiadomo Zarząd Zakładów im. X. Siemaszki przez cały czas swego 40-letniego istnienia nie odwoływał się nigdy do ofiarności publicznej. Pracą cichą, a wytrwałą starał się zjednać sobie przyjaciół życzliwych, którzy mu służyli radą i pomocą. Dziś jednak, kiedy wydatki idą w miliony, należy zainteresować szerszy ogół instytucyą humanitarną, by przy jego pomocy ta tak ważna dla nas placówka nie tylko nie upadła, ale coraz więcej rozwijała się dla dobra tylu sierot — ofiar wojny.



Zakład wychowawczy im. X. Siemaszki: Młodzież podczas kąpieli w basenie zakładowym.



GONIEC KRAKOWSKI

Wielkie pismo codzienne o bardzo bogatym dziale politycznym, społecznym i gospodarczym, referowany przez pierwszorzędne pióra polityczne.

Zamieszcza najświeższe informacye telefoniczne i telegraficzne. Posiada doskonale zorganizowaną sieć własnych korespondentów.

Przynosi: najświeższe informacye z kraju i zagranicy, w szczególności handlowe i giełdowe, wszelkie projekty Rządu i Sejmu na polu gospodarczem, oraz wszelkie zarządzenia Władz w tej dziedzinie, omawiając je szczegółowo i krytycznie.

Obfitą i wyborową treść uzupełnia nadto dział: naukowy, wojskowy, literacki i artystyczny. Doskonałe migawki humorystyczne, dział szaradowy (co drugą niedzielę 6 cennych nagród), dział mód, wyborne powieści i. t. d.

DZIAŁ OGŁOSZEŃ zapewnia inserentom pierwszorzędne korzyści.

Do nabycia na całym obszarze Rzeczypospolitej. – Na żądanie wysyła się numery okazowe.

Istniejący od lat dwudziestu

Handlowo-przemysłowy Związek katol. krawców

Stowarz. zarej. z ogran. poręką.

w Krakowie, Floryańska 7.

przyjmuje zamówienia na ubrania męskie podług miary, z własnego lub powierzonego materyału. Obsługa rzetelna, terminowa. — Sukinie dla Przew. Duchowieństwa sporządzają fachowi specyaliści. Sprzedaż materałów na kostyumy męskie i na damskie.

„HUMOR POLSKI"

Dwutygodnik humorystyczny polityczno-satyryczny

Do nabycia w całej Polsce

Cena egz. 15 Mk.

„BOCIAN"

Dwutygodnik humorystyczny

Do nabycia we wszystkich Ajencyach

Cena egz. 20 Marek

Adres Redakcyi i Administracyi

Kraków XV, ulica Kazimierza Wielkiego L. 95.

Księgarnia Dra Wł. Miłkowskiego

(Kraków, Floryańska 1.)

sprzedaje niewielką reszię egzemplarzy następujących dzieł, oddawna wyczerpanych w handlu księgarskim:

Bartoszewicz K. Księga pamiątkowa Konstytucyi 3 maja. 2 tomy. – Cena 50 marek.

Bartoszewicz K. Antysemityzm w Polsce do końca wieku XVII. Cena 120 marek.

Niemcewicz J. U. Powieści poetyczne. — Cena 20 mk

Rutowski Tadeusz. W sprawie przemysłu krajowego. — Cena 40 marek.

Rutowski Tadeusz. Przemysł cukrowniczy, jego wpływ na rolnictwo. Cena 30 marek.

Minister **Flo yan Ziemiałkowski.** (Kartka z dziejów Galicyi, z portretem). — Cena 20 marek.

W Administracyi Nowości Illustrowanych

jest do nabycia

Księga pamiątkowa wielkiej wojny.

(Kalendarz z 1914-15-16 roku).

Cena 50 Marek polskich.

Drukarnia D. E. Friedleina

w Krakowie, ul. Kazimierza W. 95. Tel. 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, tabele i t. p. szybko i starannie, po cenach umiarkowanych.

WAŻNE DLA SZKÓŁ!

POCZET KRÓLÓW POLSKICH

Obraz barwny 74×100 cm. artystycznie wykonany według Jana Matejki z oryginalów prof. Stroynowskiego i Papieskiego ukazał się nakładem

SALONU MALARZY POLSKICH

Henryk Frist, Kraków, ul. Floryańska L. 37.

Cena wraz z opłatą od przedmiotów zbytku Mk. 220 – z przesyłką pocztową Mk. 236. — Księgarnie, kupcy, uczelnie i zakłady wojskowe otrzymują znaczny opust.

WAŻNE DLA SZKÓŁ!

Krajowe Zakłady Konfekcyjne w Krakowie i Szatnia w Nowym Sączu

Spółki z ograniczoną odpowiedzialnością

rozpoczęły swoją działalność na wspólny rachunek z dniem 23-go maja 1921 roku.

— Dostarczają hurtownie i częściowo: — urzędom, Kółkom rolniczym, kooperatywom, konsumom, kupcom i t. p.

wszelkiego rodzaju garderoby:

męskiej, damskiej i dziecięcej, wyrobu własnego i zagranicznego. Obecnie na składzie większa ilość ubrań męskich

Fabryka:	Biuro i skład:
N. Sącz ul. Wąsowiczów.	Kraków ul. Szczepańska 7.
Adres telegr.: „Szatnia".	Adres telegraf.: „Kazeka".

Wielkie korzyści

PP. Kupcom i Przemysłowcom przynosi

abonowanie poniżej wymienionych w całej Polsce znanych i jedynych pism fachowych:

Tygodnik	„Kupiec"	prenumerata kwart. M.	100 –
„	„Drogerzysta"	„ „ „	72 –
„	„Przegląd włóknisty"	„ „	72 –
Dwu „	„Dom gościnny"	„ „	50 –

Zeszyty próbne wysyłamy za nadesłaniem

2 Marek.

Adres zamówień:

POZNAŃ, UL. WIELKA 10.

KALENDARZ „BOCIANA" NA ROK 1921.

Do nabycia w Administracyi „Bociana" Kraków XV., Kazimierza W. 95. Łobzów 9.

Cena 30 Mp. Dla odsprzedawców rabat.

PRZEMYSŁOWCY! PRZEMYSŁOWCY!

IMPORT & EKSPORT

Towarzystwo Handlowe Imigracyi Stanów Zjednoczonych Ameryki

ma wielki zbyt na towary polskiego wyrobu. Również zamówienia z kraju uskutecznia bezzwłocznie. Piszcie lub telegrafujcie do IMMIGRANT COMMERCE ASSOCIATION

Adres telegraficzny: „IMCOM BUFFALO".

L. A. Prosiński, Prezydent. 1078 Broadway

W. J. Bukowski, Vice-Prezydent. Buffalo, N. Y. U. S. A.

Wszelkie poszukiwania i informacye załatwia się natychmiast.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.